

Ж IV
39894

ZESZYT 13.

ROK II. :: ::

Kraków, dnia 5 kwietnia 1911.

Kwartalnie

13 zeszytów

tylko

2 kor. 40 hal.

Wajencjach 2 kor. 70 hal.



Przedpłatę na „Tygodnik Narodowy“
przesyłać należy
przekazem pocztowym lub czekiem
do Administracji
„Tygodnika
Narodowego“
w Krakowie ulica
Wiślna 2. 



TYGODNIK NARODOWY

ILUSTROWANY

Rocznie (52 zeszyty) **9** koron. Półrocznie **4** kor. **80** hal.
Kwartalnie **2** kor. **40** hal. W ajencjach prenumerata kwartal-
nie **2** kor. **70** hal. Pojedynczy numer **24** hal. Abonament
do Francyi, Ameryki, Król. Polskiego i Rosyi tylko półrocznie
»»»»»»»»»» koron **8**, rocznie koron **16**. ««««««««««

Wydawnictwo „Tygodnika Narodowego“,
w Krakowie, ul. Wiślna 2. Konto czekowe 112 905.

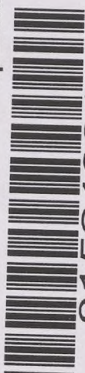
„Tygodnik Narodowy“ wychodzi co niedzielę. :: ::
Przedpłatę rocznie **9 kor.**, półrocznie **4 kor. 80 hal.**,
 éwierórocznie **2 kor. 40 hal.** — należy przesyłać na ręce
Administracji „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie,
 ul. Wiślna 2. (biuro M. Hupczyca). — W agencjach na
 prowincji prenumerata kwartalnie **2 kor. 70 halerzy.**

Ogłoszenia: Od wiersza I-lamowego petytem **30 hal.**
 Przy większych i częstszych ogłoszeniach odpowiedni rabat.

W Krakowie przyjmuje ogłoszenia wyłącznie biuro Marjana
 Hupczyca ul. Wiślna 2.

Konto czekowe poczt. kasy oszczędności No. 112 905.

ЛННБ України ім. В. Стефаника



01524331J

Biuro Dzienników MARYANA HUPCZYCA

Kraków, ul. Wiślna 2 - Telefon 340

przyjmuje prenumeratę oraz ogłoszenia
 do wszystkich dzienników.

Wielki wybór artystycznych kart z widokami.

L. 10.
 Męski ankr. remontoir.



Kor. 3,90.

z portretem Kościuszki, Mie-
 kiewicza lub z godłem polsk.
 bardzo dobrze idący na min.
 wyregulowany. Na żądanie
 wysyłam darmo i opłatnie
 katalog ilustr. zegarów, ze-
 garków, wyrobów jubiler-
 skich, chińsk. srebra, przy-
 borów, narzędzi zegarmi-
 strzowskich i towarów mu-
 zycznych. 13

F. Pamm, Kraków, Zielona 103

Rok 1909.

Rocznik XIV.

„RODZINA I SZKOŁA“

z dodatkiem
 naukowym

„WIEDZA I PRACA“

Pismo, poświęcone domowemu i szkolnemu wychowaniu młodzieży, dalszemu kształceniu nauczycielstwa oraz
 szerzeniu i popularyzowaniu wiedzy.

„Rodzina i Szkoła“ jest najtańszym pismem pedagogicznym polskim.
 „Rodzinę i Szkołę“ z dodatkiem naukowym „Wiedza i Praca“ poleca galicyjska c. k. Rada szkolna krajowa
 we Lwowie, reskryptem z dnia 22. marca 1904 l. 10. 299 do wszystkich bibliotek nauczycielskich szkolnych i okrę-
 gowych w Galicyi a śląska c. k. Rada szkolna krajowa w Opawie reskryptem z dnia 22-go marca 1908 l. 2162 do
 bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na Śląsku oraz bukowina c. k. Rada szkolna krajowa
 w Czerniawcach reskryptem z dnia 22. marca 1908 l. 2. 162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół
 polskich na Bukowinie.

Rodzinę i Szkołę z „Wiedzą i Pracą“ odznaczono listem pochwalnym na wystawie przyrodniczo-lekar-
 skiej i higienicznej we Lwowie w roku 1907 oraz na wystawach „Dziecko“ w Wilnie i higienicznej
 w Lublinie w roku 1908.

„Rodzina i Szkoła“ jest pismem szczerze polskim i katolickim.
 Prenumerata „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ kosztuje rocznie **8 Mk.**, półrocznie **4,50 Mk.** — Zeszyt
 pojedynczy „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ **0,50 Mk.**

Numera okazowe wysyła na żądanie odwrotną pocztą i opłatnie oraz również przyjm. prenumeratę wprost
 Administracya „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie (Galicya) ul. Szeptyckich l. 68 (Gmach Sokoła II-go.)
 Prosimy żądać numerów okazowych kartą korespondencyjną, podając dokładnie adres (imię i nazwisko,
 miejscowość i pocztę ostatnią.)

Roczniki z 1904, 1905, 1906, 1907 i 1908 są do nabycia w Administracyi „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie
 ul. Szeptyckich l. 68 po cenie: zbroszurowane **6 Mk.**, oprawne **7 Mk.** (bez porta) za rocznik „Rodziny i Szkoły“
 z rocznikiem „Wiedzy i Pracy“.

BALSAM aptekarza THIERRY'EGO

Nasładownictwo prawnie wzbronione.

Prawdziwy jedynie z zakonnica, jako marką ochronną.

Niezawodny środek przeciw wszelkim
 chorobom piersi i płuc, leczy kaszel,
 flegmę, chrypkę, zapalenie gardła, kur-
 że żołądka i wszelkie bole żołądkowe,
 zapalenie wszystkich organów wewnętrz-
 nych, brak apetytu, złe trawienie,
 zatwardzenie; zewnętrznie leczy wszel-
 kie choroby ust, ból zębów i oparzeliny,
 darcie w kościach, wyrzuty, przede-
 wszystkim influenzy. 12 małych, lub
 6 dużych podwójnych, albo jedna
 wielka flaszka do podróży K. 5.

MAŚC CENTYFOLIOWA aptekarza
 THIERRY'EGO

tylko prawdziwa, zadziwiająca, nie-
 hybny i niezrównany środek przeciw
 astarzałym nawet ranom wrzodom,
 ranieniom, zapaleniu, chorobom nóg,
 ropieniu, wyciąga wszelkie obce ciała
 i usuwa ropnik, zapobiega bolesnym
 operacyom. Dwie puszeki K. 3.60.

Zamówienia do Apteki pod Aniołem Stróżem
 A. THIERRY w Pregrada koło Rohitsch. 13



Allein echfer Balsam
 aus der Schutzengel-Apothek
 des
 A. Thierry in Pregrada
 bei Rohitsch-Sauerbrunn.

Reklamy.

Użyjcie, gdy jesteście zakatarzeni zachry-
 pnięci, załegmieni, fluidu Feller z marką „Elsa-
 Fluid“, Przekonaliśmy się sami, o jego skutku
 leczniczym przy bólu piersi, szyi etc. — uspokają-
 cym kaszel, orzeźwiający. Próbną tuzin 5 koron,
 dwa tuziny 8 koron 60 hal. franko. — Wytwarza
 tylko aptekarz E. V. Feller w Stubicy, Elsaplatz
 Nr. 260 Kroacya.

TYGODNIK



ILUSTROWANY NARODOWY

Kto wybiera kandydatów poselskich?

Czytaliśmy w „Dzienniku Poznańskim” sprawozdanie z ostatniego walnego zebrania wyborczego, jakie się 25 bm. odbyło w Borku. Nie mamy bynajmniej powodu nie wierzyć, by sprawozdanie to nie było ścisłym, zwłaszcza co do przemówienia, jakie wygłosił ks. szambelan Łukomski z Koźmina. Przemówieniem jego musimy zająć się ze względów zasadniczych, mimo, że ks. szambelanowi krytyka ta nie będzie zapewne miłą. Ale jest rzeczą znaną i ogólnie przyjętą, że każdy, co występuje publicznie, musi się z tem liczyć, iż jego występy omawia się w prasie.

Jest to wprost świętym obowiązkiem prasy, dążącej do uświadamiania politycznego szerokich warstw narodu, by nie pozostawiała bez odpowiedzi zdań, sprzeciwiających się zasadniczo dążeniom, zmierzającym do uobywatelnienia, do szerzenia samodzielnej myśli. A takie właśnie zdania padły na ostatniem boreckim walnem zebraniu z ust ks. szambelana Łukomskiego.

Gdy z łona zebranych ujawniła się opozycja przeciw liście kandydackiej, proponowanej przez powiatowy Komitet wyborczy, ks. szambelan Łukomski wystąpił w dłuższej przemowie przeciw temu i udowodnił w przekonujących słowach, iż takie postępowanie jest — jeżeli nie rewolucją, to conajmniej nieposzanowaniem władz. Mówca uważał przytem za stosowne, powoływać się aż na — „secesję” poznańską. Nie mając niestety, pisać te słowa, pod ręką sprawozdania, nie możemy przytoczyć tu wszystkich argumentów, którymi mówca kruszył buntownicze serca tych, co ośmielili się wystąpić przeciw liście komitetowej. Nie chodzi nam zresztą wcale o szczegóły, lecz o sprawę zasadniczą, komu przysługuje decyzja co do wyboru kandydatur poselskich.

Ks. szambelan Łukomski jest zdania, że władzę taką posiada Komitet wyborczy. Wynika to z całego jego wystąpienia w Borku.

Przypuśćmy, że zdanie to jest trafne, choć co do tego, że tak nie jest, niema najmniejszych wątpliwości, nawet według sławetnego naszego regulaminu wyborczego, preforsowanego przytłaczającą większością jednego głosu. Lecz przypuśćmy. Po jakiego licha byłoby wówczas jeszcze potrzebnem zwolywanie walnych zebrań wyborczych, odrywanie wyborców od domu, żony i dzieci. Przecież nie na to, by jedynie kiwali głowami na wszystko, co usłyszą z wysokości trybuny, na której zasiada wysoki Komitet i kilku szczęśliwych wybrańców z tłumu, powołanych na ławników. Przecież nie na to tylko, by usłyszeć z ust kandydata o tem, czem byli jego przodkowie, lub kilka tanich frazeów o Kościuszcze, przysięgającym na miecz, — nie na to wreszcie jedynie, by wysłuchać nauki o wyborach, słyszanej już kilka razy z rzędu.

Nie przesądzamy tem samem znaczenia dobrej mowy wiecowej, która może porwać, zapalić tłumy, nie przesądzamy również ważności nauki o wyborach. Lecz to nie jest najważniejszem zadaniem wiecy. Nie mają one uczyć jedynie, jak wykonywać *obowiązki*, bo obowiązki spełniać *musi* tylko niewolnik. Na wiecach powinien wiecownik móżdż wykonywać także swe *prawa*. Inaczej wiecownik nie będzie obywatelem, lecz prostym niewolnikiem, wykonywującym to, co mu z góry nakażą. Tylko świadomość praw pewnych budzić może w ludzie naszym ochotę do spełniania obowiązków. Nie należy więc, nakazuje to mądrość polityczna, uszczuplać tego naszego *polskiego prawa wyborczego*, które wykonywać nam wolno jedynie na naszych walnych zebraniach wyborczych; nie spychajmy ludu naszego do roli jedynie maszyny wyborczej, wykonującej z obowiązku *pruskie prawo wyborcze*.

Do czego doprowadzić mogą zapatrywania, jakim ks. szambelan Łukomski dał wyraz na zebraniu w Borku?

Jego zdaniem ustanawia kandydatury Komitet powiatowy; wyborcy powinni na to, co on powie,

kiwnąć milcząco głową, inaczej okazał nieuszanowanie dla władz, dadzą wyraz niezaufania. Tak samo znajdzie się, gdyby taka zasada w naszym systemie wyborczym miała się przyjąć, wkrótce ktoś inny, co powie: Na cóż nam potrzebne te komitety powiatowe — mamy komitet prowincjonalny, ten niech mianuje kandydata poselskiego, a nie będzie potrzeba zwoływać nie tylko zebrań wyborczych, ale nawet i zebrań komitetowych po powiatach. Inny wreszcie oświadczy, że jeszcze prostszemu będzie, jeżeli Centralny komitet wyborczy dla całej Rzeszy zamianuje kandydata na posła, a potem, znalazłby się zapewne jeszcze ktoś, co oświadczyłby niechybnie, że nie potrzeba Centralnego komitetu, lecz niechby sam p. Jackowski z Wręczyna, lub p. szambelan Cegielski, albo pan Napieralski oświadczał, że głosować należy na pana Iksa lub Ypsilon — bo to byłoby najprostszym.

To co piszemy nie jest bynajmniej śmiesznym, lecz przyjmując zasadę ks. szambelana Łukomskiego, godząc się na nią bez zastrzeżeń, musieliśmy się z biegiem czasu doczekać niechybnie takich stosunków. Dążenia takie *arystokratyczne*, możnowładcze, pragnące jak największą władzę oddać w ręce kilku wybrańców istnieją wśród nas. Najlepszym tego dowodem nasz regulamin wyborczy! Lecz świat nowoczesny dąży do form *demokratycznych*, w których nie uprzywilejowane jednostki, lecz ogół uświadomionych obywateli posiada głos rozstrzygający.

Stąd komitety wyborcze, wszyscy ich członkowie, choćby zajmowali oni najwyższe urzędy, świeckie lub kościelne, powinni pamiętać o tem, iż obowiązkiem ich jest jedynie *proponowanie* kandydatur, a rzeczą wyborców, proponowane kandydatury przyjąć lub odrzucić. Żaden też członek komitetu nie powinien z odrzucenia propozycji komitetowej wysnuwać wniosku, że to odrzucenie oznacza wyrażenie *niezaufania*, jak to uczynił ks. szambelan Łukomski. Sprawę tę należy omówić zasadniczo, gdyż ks. szambelan Łukomski nie jest w swych zapatrywaniach co do praw, przysługujących wyborcom, bynajmniej odosobnionym. Takie same zapatrywania wyczuć było można z licznych listów, jakie p. prof. Karwowski pisywał do gazet, broniąc kurczowo swej kandydatury, takie same zapatrywania mają setki naszych konserwatystów, nadużywających wpływowych swych stanowisk do karygodnego — zwłaszcza w naszych warunkach — ubijania myśli samodzielnej wśród szerokich warstw narodu.

Im większą będzie wśród ludu świadomość praw obywatelskich, im więcej będziemy mieli ludzi myślących samodzielnie, tem lepiej dla nas.

Dla tego samodzielność tę obywatelską, opartą o zrozumienie dla spraw publicznych, budzić nam, a nie zabijać należy.

Ze spraw bieżących.

Posłowie nasi pracują obecnie „całą parą”. Mów wygłaszają tyle, że pisma codzienne nie mogą wydać ich drukować. Ale co prawda sposobności do mówienia jest nie mało. Należało bowiem poruszyć sprawy, o których dowiedzieć się powinien świat cały, sprawy, świadczące najmówniej o tem, co się dzieje w państwie bojaźni Bożej. Mamy tu na myśli głównie system szpiclostwa, jaki kwitnie w policyi pruskiej, sprawę włamywacza Michalczaka, oraz sprawę włamywacza urzędowego, który kradł listy Straży. Zdumionej Izbie przedstawił te sprawy poseł dr. Zygmunt Seyda z Katowic, a minister przyrzekł zbadać je gruntownie. Niemniejsze wrażenie wywarł ustęp mowy jego, dotyczący niemożliwych wprost zajść w Sokole zabrzkim, w którym — conajmniej jak celem zgniczenia zaburzeń w Moabicie — zjawilo się naraz 12 policyantów.

Więści o wywłaszczeniu naturalnie nie cichną, dzięki zabiegom hakatystycznej braci, a z kół rządowych niejednokrotnie uspakać już udającą wzburzenie tłuszcę hakatystyczną, że rząd nie pozwoli upaść dziełu kolonizacyjnemu. Straszkiem czy groźbą, mającą rząd zmusić do stanowczego występowania wobec nas, ma być zapowiadane ustąpienie naczelnego prezesa Waldowa, którego patriotyczne serce nie może rzekomo patrzeć na to, iż rząd nie postępuje z nami tak, jak tego wymaga „racya stanu”.

Prądy hakatystyczne czy czarnosecinne więcej jeszcze rozhulały się w Petersburgu. Uwydatniło się to najlepiej przy sprawie samorządu ziemskiego dla t. zw. gubernii zachodnich, czyli ziem polskich. Złodziejski hakatyzm moskiewski okazał w tej sprawie całą swą siłę, choć bliskim był klęski. Stanowisko prezesa ministrów wisiało tylko na włosku, gdyż lepsze elementy w Radzie państwa nie chciały według jego recepty uchwalić krzywdzących polskość kurii narodowościowych w ziemstwach. O mały włos Stołypin byłby poszedł na odstawkę, w „duraki”. Lecz ostatecznie rząd rozstrzygnął całą sprawę na swój prawdziwie rosyjski sposób: zatrzymał całą machinę konstytucyjną, ponieważ nie chciała tak pisać, jak on jej kazał, i sam orzekł, że projekt krzywdzący Polaków staje się prawomocnym.

I Stołypin a niemniej inni czarnosecinicy rosyjscy siedzą znów mocno w siodłach — kosztem pogwałconych praw konstytucyjnych.

Wygrany zakład.

W Galicyi, na pograniczu Królestwa, mieszkał mój bliski krewny, Sławiński. Mając pilną sprawę rodzinną, wybrałem się do niego, pomimo, iż to były czasy niespokojne.

Dotarłem do jego sadyby już późno wieczór. Bawił u niego wówczas jego dobry przyjaciel Wyderski, ogólnie Wydrą zwany.

Zastałem ich przy gąsiorku „Imperatora“ już porządnie podchmielonych, to też, gdy mnie ujrzeni, wzięli między siebie i tak długo przymuszali, aż i mnie zaczęło się z czupryny kurzyć.

Było już dobrze po północy, gdy mnie wuj zagadnął:

— Jak ci wino smakuje, Maryanie?

— Nie jestem znawcą pod tym względem, ale uważam, iż jest doskonale — odparłem.

— I ja tak myślę, nie chwając się — rzekł, rad z pochwały, wuj — ale mój cieńkusz nie można równać z sławnym winem ks. Wincentego. Ma jeszcze z tego gatunku jeden jedyny gąsiorek, który nie widział światła dziennego przeszło lat czterdzieści.

— Czyż może być? — zawołał Wydra — pierwszy raz o tem słyszę. Toć i ja mam prawo „lyknąć“ z niego, wszakżesz zaliczam się do przyjaciół ks. Wincentego.

— Nic z tego! — odparł wuj — nie dla psa kielbasa. Przedostatni gąsiorek wypróżniliśmy w ów dzień pamiętny jubileuszu jego kapłaństwa a zarazem rocznicy Konstytucyi 3 Maja. Wówczas każdy dostał tylko po naparstku tego sławnego nektaru. Ostatni gąsiorek zaś zostawił dla takiego, który będzie godny tak sławnego wina.

— W takim razie gąsiorek będzie moim! — zawołał Wydra.

— Już paru się o niego „dobijało“, i każdy wraca z kwitkiem; a wino nabiera smaku, no i — coraz większej sławy.

— A ja ci mówię, że muszę spróbować tego, jak sam mówisz, sławnego nektaru.

Zaczął się długi spór, który się zakończył zakładem, iż wuj daruje Wydrze trzy garncewki najlepszego „Imperatora“. Mnie wzięto na świadka zakładu. Zaczęło szarzyć, gdyśmy się na spoczynek udali. Nazajutrz zaprzężono konie i pan Wydra zaprosił mnie na sławny nektar ks. Wincentego.

Wsiedliśmy i po półgodzinnej jeździe zatrzymaliśmy się przed plebanią.

Ksiądz Wincenty czytał właśnie dziennik, gdyśmy weszli do pokoju.

— A witajże mi, kochany sąsiedzie — zawołał — w dobrej chwili przyjeżdżasz. Wypijemy na zdrowie naszego Maryana, który tak dzielnie z kozy uszedł.

Wkrótce po schwytaniu Langiewicza przez Austryaków rozeszła się pogłoska, że dyktator uszedł z więzienia i przebrany ukrywa się w tej okolicy. Ks. Wincenty czytał właśnie tę wiadomość w dzienniku, która go niezmiernie ucieszyła.

Wydra słyszał także o tem zdarzeniu, postanowił więc teraz tę okoliczność użyć do swoich celów.

— Jakto? — zawołał. — Jegomość już wie o wszystkim? Ale pst! To tajemnica.

— Cóż znowu, tajemnica? Toż cała Polska już o tem wie. Waszeć chce mnie wzięść na kawał. Ale zapóźno! I ja czytałem gazetę.

— Co? To już gazety o tem piszą?

Teraz dopiero pojąłem plan pana Wydry. Schwyciłem tedy, z udanym pomięszaniem za dziennik i obaj z Wydrą zaczęliśmy czytać z wielkiem zainteresowaniem, choć już parę razy tę wiadomość czytaliśmy. Ks. Wincenty zaś, otworzywszy szeroko oczy, zaczął mi się z uwagą przyglądać.

— Hm, wasy ogromne — mrucał do siebie — wynędzniały, widać siedział w więzieniu — na Boga, to on!

— To źle, Maryanie — mówił do mnie półgłosem Wydra — chyba telegrafowali.

Ksiądz Wincenty, usłyszawszy imię Maryana, wyprostował się cały a przybierając uroczystą minę, rzekł do nas:

— Panowie zechcą przejść do drugiego pokoju; ja zejdę na chwilę do piwnicy: mam tam sławne, stare „hungaricum“, godne dyktatora.

To mówiąc, ukłonił mi się nisko i ze znaczącym uśmiechem wyszedł.

— Byleby się stary nie pomiarkował — szepnął Wydra. Czcigodny gospodarz powrócił niebawem, niosąc ogromny gąsiorek, którego brzuszek wysłany był grubem pleśnią futerką.

— To hetman mojej armii piwniczej — rzekł, stawiając gąsiorka na stole — pamięta jeszcze moje prymicie. Ileż plutonów pękających garncewki i cienkich flaszek legło u stóp jego; on jedyny przetrwał wszystkie batalie odpustowe. Chowałem ten nektar dla człowieka tak sławnego, jak on sam i dziś nadeszła ta chwila, kiedy się mogę trącić z tak dostojnym gościem...

— Ależ Jegomość pozwoli go sobie przedstawić — zawołał Wydra.

— Nie potrzeba, nie potrzeba! — odparł gospodarz. — Teraz czasy niespokojne; cóżby mi przyszło z pseudonimu, którym się dziś każdy maskuje. Wystarcza zupełnie, że pan jesteś moim gościem. — To mówiąc, podał mi uprzejmie dłoń a nalawszy kieliszki, zawołał:

— Zdrowie naszego dyktatora. Oby nam znowu szczęśliwie hetmanił i ściervo moskiewskie z kraju wymiół!

Brzękły kieliszki i złoty napój, więziony w szkle przez lat czterdzieści, polał się, napelniając pokój przyjemnym zapachem. Patryotyczne toasty następowały szybko po sobie, a rozmowa nastrojała się coraz serdeczniej.

Wreszcie pokazało się dno w gąsiorku; gospodarz, któremu oblicze jaśniało, jak i nam, żywym rumieńcem, powstał i wniósł ostatni toast:

— Kochajmy się.

Spełniliśmy go i wkrótce potem siedzieliśmy na bryczce.

Przyjechawszy do wuja, uraczyliśmy się wygrany „Imperatorem“ do syta.

Nazajutrz posłał Wydra ks. Wincentemu butlę „Imperatora“ z napisem:

„Przyjm Jegomość „Imperatora“
za dyktatora!“

Nadesłał A. H. Niezgodzki.



Kaplica Sykstyńska. Watykan, Rzym.

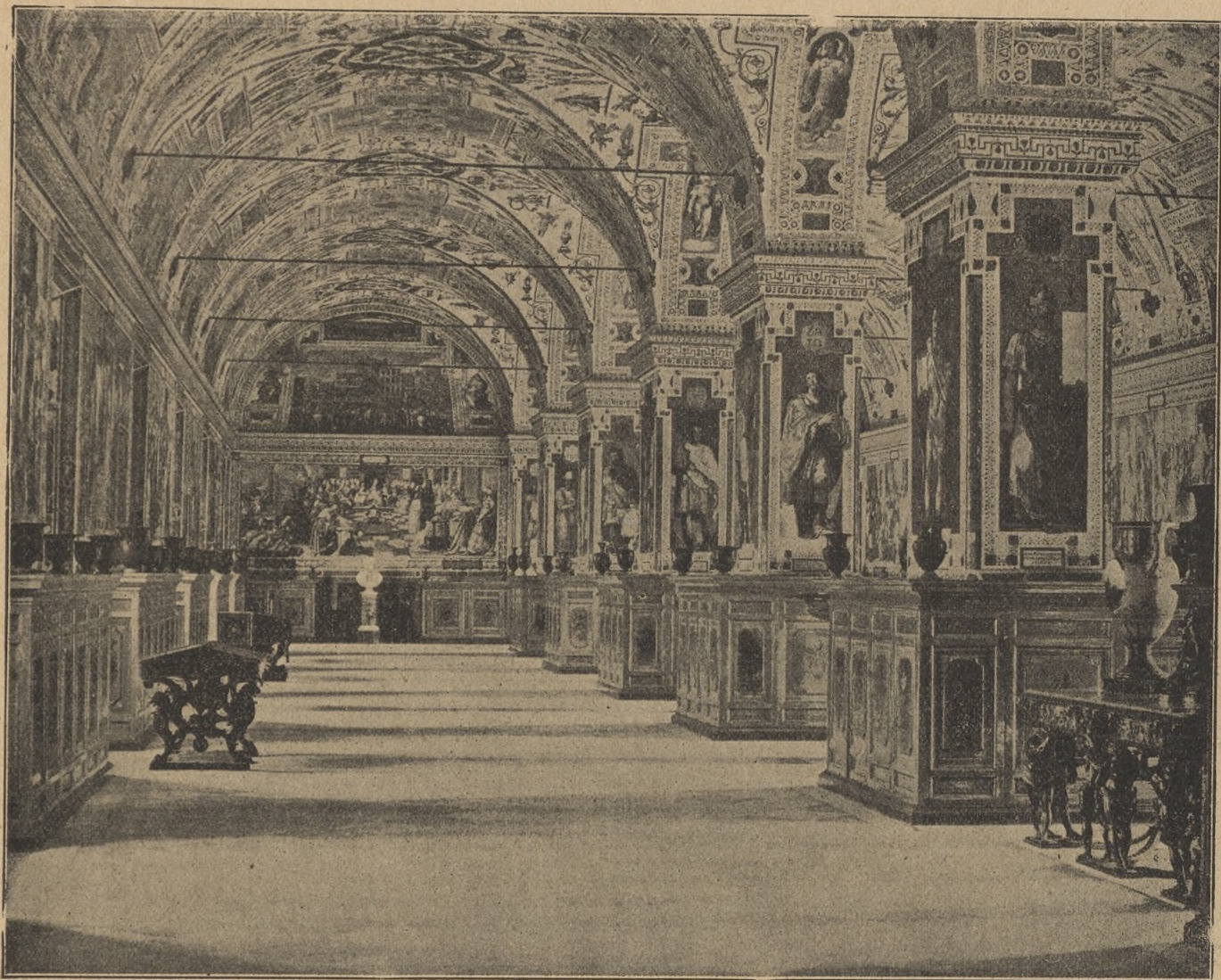
Kaplica sykstyńska w Watykanie wzięła swą nazwę po papieżu Sykstusie IV, który ją w roku 1473 wybudować kazał. Hala ta ma 50 metrów długości i z trzech stron otoczona jest galeryami. Wspaniałe freski sławnych artystów piętnastego stulecia i portrety papieży zdobią ściany. Największą wartość pod względem sztuki nadają kaplicy arcydzieła Michała Anioła, a mianowicie wspaniałe malowidła na suficie, przedstawiające sceny ze starego testamentu: Stworzenie Adama i Ewy, Wygnanie z raju, Potop itp. Widzimy tu również dwanaście siedzących figur proroków i sybill, które zaliczają się do najznacniejszych

utworów sztuki. Ściana naprzeciw wejścia pokryta jest malowidłem Michała Anioła przedstawiającem sąd ostateczny. Sławny artysta malując ten obraz miał już lat 66 i ukończył go w ośm lat później, w r. 1541. W dowód uznania dla tego obrazu, złożył papież w towarzystwie dziesięciu kardynałów Michałowi Aniołowi wizytę; według surowej etykiety dworskiej przewodziło to odznaczenie nawet fakt ten, że Karol V podniósł Ticianowi ołówek ze ziemi. Kaplica sykstyńska w tydzień wielkanocny używaną bywa do ważnych ceremonii kościelnych. W kaplicy tej odbywa się wybór papieża.

Ilustrowana podróż naokoło świata.

Jak już Szan. Czytelnicy nasi mieli sposobność przekonania się, pismo nasze dąży stale i systematycznie do udoskonalenia się pod każdym względem. Pragnąc, by część redakcyjna

pisma naszego wypadła jak najlepiej, czyniąc zadość wymaganiom najwybredniejszym, udało nam się dla naszego tygodnika pozyskać szereg współpracowników literackich nie tylko z naszej dzielnicy, ale i z Galicyi i Królestwa Polskiego. To daje gwarancję, że pismo nasze pod względem treści dostarczy strawy duchowej, wyborowej i żywotnej, interesującej.



Biblioteka watykańska w Rzymie.

Świat zawdzięcza wiele tym papieżom, którzy popierali sztuki i umiejętności, i za których Watykan był nie tylko pałacem najwyższego dostojnika katolickiego Kościoła, ale zarazem zbiornikiem wielu skarbów starożytności i czasów renesansu. Biblioteka watykańska, jedna z najbardziej cennych świata, robi potężne wrażenie na zwiedzającego. Podłoga mozaikowa pokrywa przestrzeń 80 metrów długości i 17 szerokości; wspinałe obrazy zdobią sufity, a bogate książęce podarki różnego rodzaju, świadczą o czci, jaką okazywano rozmaitym papieżom. Wazony porfirowe, urny malachitowe, złote krzyże, ciężkie srebrne lichterze zdobią wielkie sale. Wszystko to

jest tylko zewnętrzną ozdobą; prawdziwe skarby są przechowane w samej bibliotece: około 24 000 rękopisów o nieobliczalnej wartości znajduje się tutaj, jakoteż przeszło 50.000 drukowanych tomów. Rękopisy i rzadkie wydania są przystępne dla małej ilości ludzi, i są przechowane w kosztownych i misternie wykonanych szafach. Pomiedzy uczonymi, którzy pracują w archiwach biblioteki watykańskiej, znajdował się częstokroć zmarły papież Leon XIII, który z żywym zajęciem interesował się literackim życiem. Sam pisywał swoje listy i akta płynną łaciną i zdobył sobie też swojemi włoskimi i łacińskimi poezjami piękne imię pomiędzy autorami.

Dbając o treść, nie spuściliśmy ani na chwilę z oka naszego działu ilustracyjnego, artystycznego. Na dział ten szczególnie bacznie zwracamy uwagę. Mianowicie pragnąc, aby tygodnik nasz ilustrowany mógł iść w zawody nie tylko z podobnymi tygodnikami warszawskimi, ale co najważniejsza, ażeby mógł skutecznie konkurować z „wochen-

blatami“ niemieckimi, zaprowadziliśmy stały dział ilustrowany wypadków najważniejszych ze świata, a więc wysoce aktualnych, o których się powszechnie mówi i pisze.

Obrazki te (zdjęcia fotograficzne pierwszorzędnych zakładów fotograficznych europejskich), dające nam żywe wyobrażenie o zdarzeniach



Panorama Paryża.

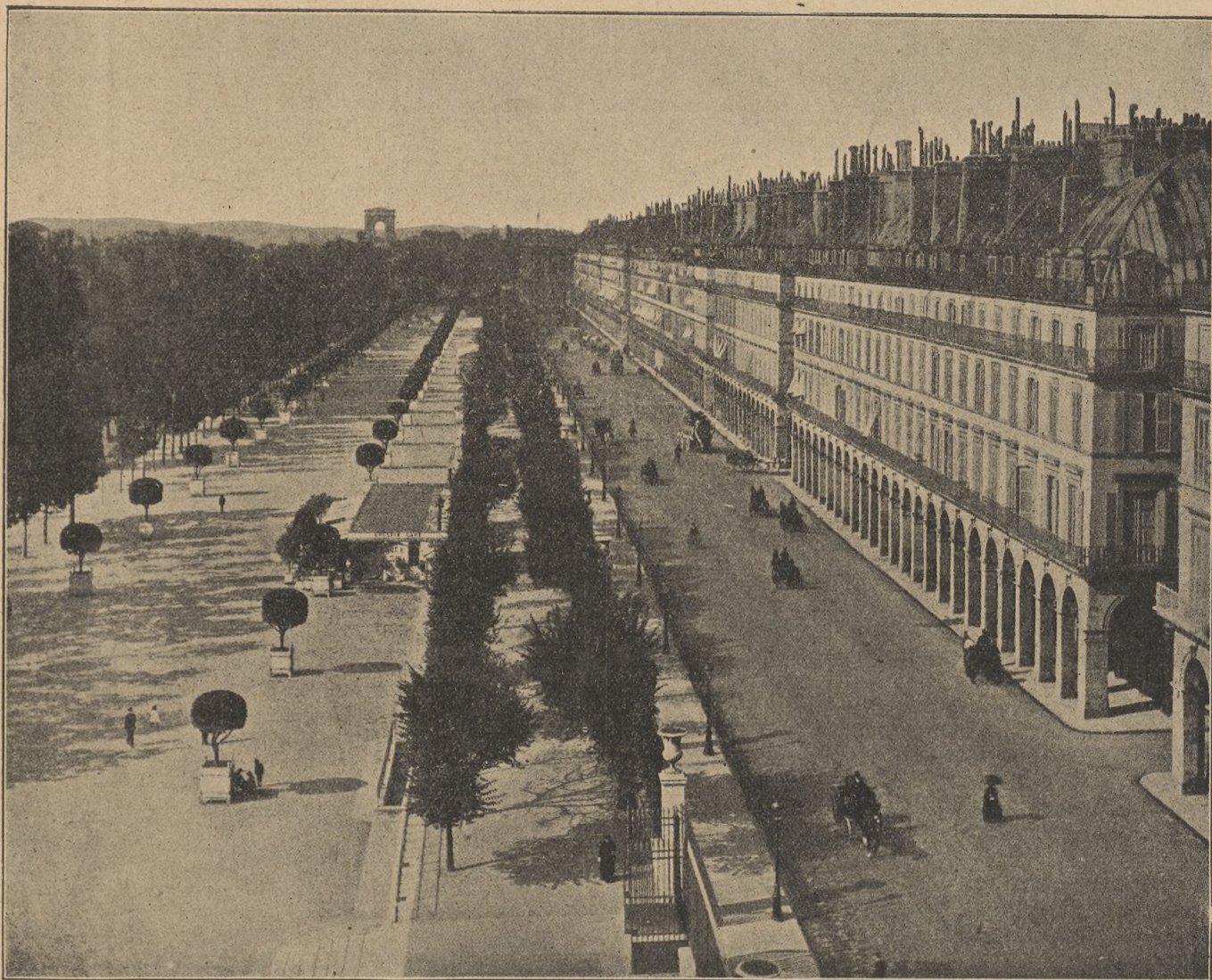
Jak Rzym był stolicą starożytności, tak jest Paryż stolicą współczesnego świata. Cały szereg miast dąży do tego, by dorównać francuskiej stolicy, ale żadnemu jeszcze miastu nie udało się osiągnąć elegancji, wyrafinowanej wesołości życia, piękności układu ulic i bulwarów, ani nadzwyczajnej architektonicznej wspaniałości, jakie odznaczają Paryż. — Jak Szwajcarya uchodzi za miejsce wypoczynku dla Europy, tak Paryż jest dla niej najulubieńszem miejscem zabawy. Z najdalszych okolic i miast napływają rokrocznie niezliczone tysiące ludzi, którzy szukają tu rozrywki. Paryż

umie rozweselić, pouczyć i zachwycić. Co chwila i zupełnie niespodziewanie pierwsza lepsza ulica staje się widownią jakiegoś wesołego zdarzenia. — Wartko przepływa Sekwana, która dzieli miasto na dwie prawie równe części, popod 28 mostów, z których wiele posiada historyczną przeszłość. Blisko półtrzecia miliona ludzi mieści się tu na stosunkowo niewielkiej przestrzeni. Paryż jest miastem równie pięknym, jak czystym. Staranność, z jaką przeprowadzono w Paryżu kanalizację, budzi zazdrość obcych gości, odbijając jaskrawo od niedbalstwa, z jakim przeważna część innych wielkich miast tę kwestyę traktuje.

większych w świecie politycznym, w życiu codziennym, w dziedzinie wynalazków i t. d. i t. d., znalazły w szerokich kołach Czytelników naszych szczere uznanie, o czym świadczą liczne listy, które codziennie napływają do Redakcji.

Lecz na tem nie poprzestaliśmy. Idąc na raz wytkniętej drodze w celu udoskonalenia naszego pisma, postanowiliśmy zaprowadzić w ilustracji

naszej nowy dział, mianowicie t. zw. *ilustrowaną podróż naokoło świata*. W każdym więc zeszyte obok sławniejszych dzieł mistrzów pędzla, dalej obok aktualnych obrazków ze świata, dawać będziemy stale znakomite zdjęcia fotograficzne z różnych krajów, miast i okolic, najwspanialszych gmachów i widoków całego świata — wraz z krótkimi objaśnieniami. Do tego celu udało



Ulica Rivoli w Paryżu.

Ulica Rivoli jest ulicą najbardziej znaną w Paryżu i przez podróżujących najwięcej uczęszczaną. Po jednej stronie ciągnie się ogród tuileryjski, za nim gmach tuileryjski (zburzony w r. 1871 przez kumunardów) i wspaniałe muzeum Louvru. Poza tymi, również po tej stronie, wznosi się pomnik gotycki St. Jacques. Północna strona ulicy Rivoli jest niemniej piękną. Tamże stoi sławny Pałac królewski i Teatr francuski wielki magazyn Louvru i wiele innych najbardziej znanych hoteli jakoto: hotel Continental, Maurice i Windsor. Oryginalny charakter nadaje tej ulicy długi rząd arkad. Arkady te powstałe przez wysunięcie budowy każdego domu, począwszy od

drugiego piętra poza chodnik chronią przechodniów od deszczu i słońca. Tu są liczne magazyny jubilerskie, składy przedmiotów galanteryjnych, których wystawy bezustannie obcych przyciągają. Pod tymi arkadami częstokroć słyszał więcej angielskiego aniżeli francuskiego języka. Ulica ta była też widownią niejednego historycznego wypadku. Wzdłuż tych arkad posuwały się za czasów rewolucji wózki, dowożące gilotynie ofiary. Robespiera, jakoteż setki innych, którzy go wyprzedzili, prowadzono tą ulicą ku gilotynie. Była też ta ulica świadkiem upokarzającego powrotu Ludwika XVI i Maryi Antoinetty po ich ucieczce i wielu jeszcze innych historycznych zdarzeń.

nam się już zgromadzić kilka set przepięknych widoków z Europy, Ameryki, Azji, Afryki i Australii. Ilustrowaną podróż naokoło świata rozpoczynamy już z numerem niniejszym.

Rzecz jasna, że wszelkie te nowości, zmierzające do uczynienia z tygodnika naszego ilustracji

pierwszorzędnej, pochłaniają olbrzymie wydatki. Wszakże nie wątpimy ani na chwilę, że Szan. Czytelnicy ulepszenia przyjmą z uznaniem i radością, i w zrozumieniu słusznem naszych dążeń, poprą nasz tygodnik przez zjednywanie dlań największej liczby abonentów. Przez to bowiem

Szan. Czytelnicy przysłużą się dobrej sprawie, a przyczynią się do wyrugowania z domów polskich niemieckich, hakatystycznych Wochenblatów, których — jak dotąd tam aż nadto niestety wciąż się jeszcze znajduje. Sądzymy, że tygodnik nasz wyprze zwycięsko piśmidła niemieckie, i znajdzie się w każdym domu szczerze polskim jako prawdziwy i mile witany dobry przyjaciel.



Kto z nas, o bracia...

*Kto z nas, o bracia, ma dzisiaj tę wiarę,
Co z grobów prochy wywołuje stare
I kształt im daje i tchem je obdziela,
Jako w widzeniu sądnem Ezechiela.*

*Kto z nas jest godzien tknąć całun, co leży
Na wielkiej trumnie umarłej przeszłości?
Kto z nas tak kocha i kto z nas tak wierzy?
By na głos jego ruszyły się kości?*

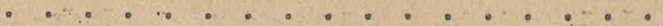
*Dzieci my słabe — rozbiegłe po ziemi
Za mamidlami, za blaski płonnemi,
A wielkie głosy, co idą z prawieka,
Są nam jak echo, gdy z wiatrem ucieka.*

*Niema słuchaczy i niema pieśniarzy,
Ze łzami w oczach, z płomieniem na twarzy,
I ziemia dzisiaj w zachwycie nie słucha
Przelotu skrzydeł natchnienia i ducha.*

*Nikt już na kłęczkach swej lutni nie stroi,
Nikt z nas nie chodzi w anielskich piór zbroi,
Głos rozłamany na kłatwy i jęki
Hymnów nie wyda, lecz marne piosenki.*

*Wy chyba jeszcze, prastarych puszczych drzewa,
Słyszycie wielką pieśń, gdy burza śpiewa!
Wy chyba jeszcze, śnieżyste gór szczyty
Orlemi loty bijecie w błękity!*

*Do was się, do was przygarnąć nam trzeba,
By wzlecieć bliżej wieczności i nieba.
Do was się pierśmi przytulić drżącemi,
Wy — harfy wieczne! Wy — wieczna pieśń
ziemi!*



*Nędzaż to nasza, czy wino, o Panie,
Że nasze hymny to jęk dziś i łkanie,
Że nasze pieśni to martwe wyrazy,
Że nasze serca — to próchna, lub glazy?*

*Nędzaż to nasza, o Panie, czy wino,
Że się pierś nasza popielić zaczyna,
Że dzieci nasze odstąpiły myślami
Od wielkich ojców?...
...Miej litość nad nami?*

*Miej litość! Odważ na sądnej Twojej szali
Łzy te i krew tę, któreśmy przelali...
Marya Konopnicka.*



Plotkarz dziennikarski.

Jedna z ważniejszych figur w redakcyi to referent „nieszczęśliwych wypadków“, u którego największym wypadkiem jest, jeśli pewnego dnia nie ma sensacyi. Jak ptak potrzebuje powietrza, jak ryba wody, jak agent inseratowy rewolweru, jak kobieta lustra, tak reporter potrzebuje sensacyi — więc robi w sensacyi i szuka sensacyi.

Jak dla dobrego chirurga nie istnieje ból i nieszczęście chorego lub jego rodziny, a zna tylko ciekawy lub nieciekawy, udały lub nieudały wypadek operacyi, tak dla dobrego reportera nie istnieje rozpacz samobójcy, tragedia unieszczęśliwionej rodziny skandalem, wstyd krewnych defraudanta, tylko sensacyjne samobójstwo, sensacyjny skandal rodzinny, sensacyjna defraudacya. Wielka kradzież lub defraudacya jest dla niego czemś bardzo pożądanem, a defraudanta z wdzięczności pocałowałby w ucho i chętnie by ułatwił mu sam ucieczkę, gdyby wykrycie i schwytanie defraudanta nie było nową sensacją. Gdy patrzy na samobójcę broczącego w krwi czuje dla niego żywą sympatyę i wdzięczność. A za głośny skandal rodzinny, który jest u niego uroczystością, zamianowałby sprawcę tego skandalu członkiem honorowym „Bratniej pomocy reporterów“, gdyby takie stowarzyszenie istniało.

Złodziej lub defraudant nie ukradł pieniędzy na to, ażeby miał z czem uciekać za morze, samobójca poderżnął sobie gardło nie dla tego, że żyć dłużej nie mógł, fałszerz banknotów nie chciał się wzbogacić tanim kosztem — oni wszyscy pracują tylko dla reportera na to, ażeby on miał sensację.

— Diem perdidi (straciłem dzień!) — powiada



Wielka pomoc.

sobie reporter, gdy któregoś dnia nie ma żadnej sensacyi, ale też z drugiej strony nie bardzo jest zadowolony, gdy jednego dnia ma aż dwie lub trzy sensacje mniejsze lub większe. Kiedy obok słynnego włamania zdarzy się jakiś wypadek samobójstwa, gniewa się reporter na samobójcę:

— Nie mógł idiota wczoraj się powiesić, kiedy nic ciekawego nie było, albo poczekać do jutra ze sznurkiem, tylko akuratnie dziś mu wypadło wieszać się, kiedy mam takie ładne włamanie.

Dobry reporter nigdy nie ma czasu, a nawet we śnie się spieszy i budzi się czasem pod łóżkiem.

Spieszy się, bo chodzi mu o to — aby go nie ubiegł kolega z innego dziennika, co byłoby skandalem. Jest to jedyny skandal — który nie jest sensacją.

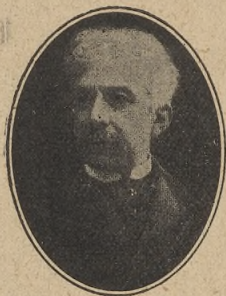
Pędząc ulicą nie widzi reporter nikogo, chyba że ktoś na to specjalnie zasłuży przez to, że np. kogoś obije, przejedzie samochodem, albo przynajmniej złamie sobie nogę.

Do redakcyi przychodzi zawsze zadyszany, czasem nawet z miną tryumfatora, jakby wynalazł niezwykłą sensację, ale co najmniej prosi strzelniczy, który — jak wiadomo nie łatwy był do wynalezienia.

Dobry reporter wie pierwszy o wszystkim, co się dzieje i dzieć będzie w najbliższych dniach, gdzie się co zdarzyło i czemu, — gdzie źródło najpewniejszych wiadomości i jakich, o czym wolno pisać i kiedy, co trzeba zamilczeć. Umie robić sensację nawet z czegoś, co nie jest sensacją, a gdy się nazajutrz pokaże, że sensacja nie była sensacją, to odwołanie sensacyi jest także sensacją.

KZ

Obrazki ze świata.



Antonio Fogazzaro.



Porfirio Diaz.

Kilkanaście dni temu zmarł w Vicenza, przeżywszy lat 70, słynny ten powieściopisarz i poeta włoski, którego dzieła we Włoszech formalnie rozchwytywano, a tłumaczone na inne języki europejskie cieszyły się również wielką poczytnością. Największym sukcesem cieszy się ostatnia powieść zmarłego pisarza, »Leila«. Niemniej poczytną była powieść jego »St. Santo« (Święty).

Prezydent, a raczej długoletni dyktator republiki meksykańskiej, w której od szeregu miesięcy toczy się walka bratobójcza, Porfirio Diaz, to postać nadzwyczaj ciekawa. Umysł niepośledni, osobistość, którego wpływom bezwiednie ulegało niemal całe bliższe i dalsze otoczenie; dzięki tym przymiotom potrafił on zatrzymać tak długo władzę nad Meksykiem w swem ręku, i trzyma ją



Najokazalsza kobieta na świecie.

dotąd mimo podeszłego wieku, mimo choroby, a przede wszystkim mimo burzy rewolucyjnej, jaka się rozszalała obecnie w kraju przezeń rządzonym.

Katastrofy kolejowe stały się przy obecnym rozwoju ruchu zjawiskiem niestety niemal codziennym. Stąd też urzędy kolejowe muszą być każdej chwili przygotowane do akcji ratunkowej. Wagon przedstawiony na powyższym obrazku nadaje się bardzo do niesienia pomocy w razie nieszczęść. Jest on zaopatrzony we wszystko, co jest potrzebnem dla rannych.



Wagon kolejowy dla niesienia ratunku podczas katastrof.



Proces Kamory. (Patrz artykuł na stronie 13).

Prawda — czy też żart! Ot pytanie, nasuwające się na widok obrazka. A jednak to prawda. Kobieta ta, to Paryżanka, mademoiselle Maximilienne, pokazująca się obecnie po świecie — naturalnie za pieniądze. Przy urodzeniu ważyła ta »panienka« 16 funtów, licząc 6 lat, wykazywała jej waga już pokaźną cyfrę 120 fun-

tów, a dziś waży ona nie mniej, jak 430 funtów. Obwód jej w pasie wynosi 2,60 m., a w kolanku 60 cm.

Mademoisell Maximilienne powinna się pokazywać w »juppe-culotte'ach«!

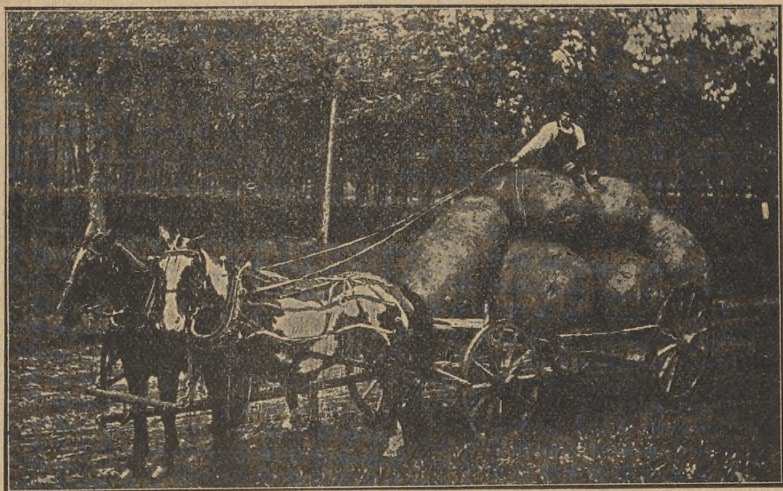


Młode lwy w ogrodzie zoologicznym.

(Rysunek z natury).



Olbrzymi owoc kukurydzy.



Ziemniaki (perki) przeszło metr długie.



Olbrzymia kapusta.

Dziwy ogrodnictwa.

Artykuł niniejszy jest streszczeniem broszury naukowej, jaką napisał botanik amerykański dr. *Amirp Silirpa*, o najnowszych wynikach, jakimi poszczycić się może sztuka ogrodnicza pod względem hodowania *olbrzymich owoców*.

Redakcja.

Przed niezbyt dawnym czasem doszedł Amerykanin L. Burbank w swej farmie doświadczalnej w Santa Ross (w Kalifornii) do wspaniałych wyników w hodowli rozmaitych rodzajów roślin. Wyhodował on np. ziemniaki bez oczek, śliwki bez pestek, a przez krzyżowanie śliwki z aprikozą udało mu się stworzyć nowy nadzwyczaj smaczny owoc.

Kwiaty jego hodowli dochodziły do wielkości kilkakrotnie większej od naszych zwykłych, a posiadają one niezliczone odcienie barw.

Wyniki te wprowadzały świat w podziw, a pierwotnie mniemano ogólnie, że są one zwykłym humbugiem, zwykłą błągą amerykańską. Między innymi udało mu się wyhodować kaktus, zwany *Opunta*, nie posiadający kolcy, który rośnie bardzo dobrze na najgorszych piaskach pustynnych, a którego każda roślina wydaje rocznie 20-funtowe owoce o smaku nader ożywczym, bardzo soczyste. Dzięki owocom tym, ani Sahara, ani żadna inna pustynia nie będzie już dla podróżnych niebezpieczną.

Ogrodnicy i hodowcy amerykańscy zaczęli się teraz prześcigać, by przewyższyć jeszcze wyniki L. Burbanka. »Impossible, c'est le mot d'un fou« — »Niemożliwe powiada tylko głupi.« Przysłowie to Napoleona I pobudziło widocznie innego Amerykanina, profesora Johna Ruppina w Levada (Mo) do dalszych badań naukowych, opartych na ciągłych doświadczeniach. Głęboka jego wiedza na polu botaniki, połączona z doświad-

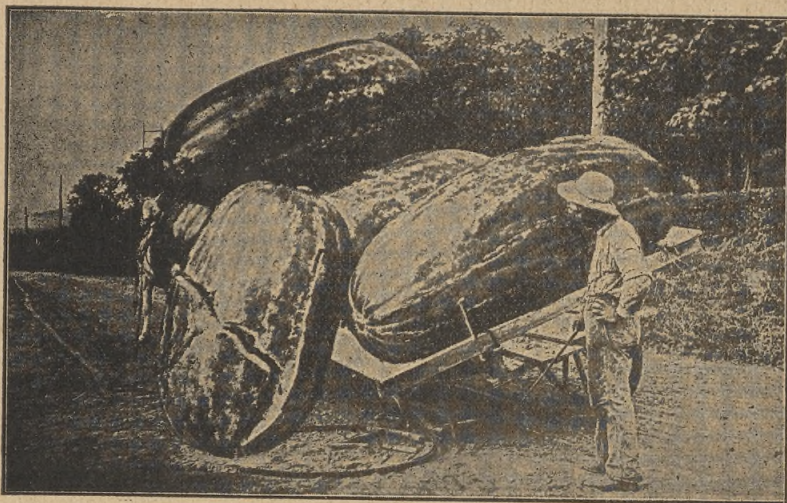
czeniami innych autorytetów na tem polu, umożliwiła mu stworzenie rzeczy, o których Burbank zaledwie mógł marzyć.

Udało się nam wystarać o obraški, które lepiej, niż wszelkie słowa, świadczą o dziele wielkiego Amerykanina.

Na pierwszym z nich widzimy owoce kukurydzy, budzące podziw wśród zebranej publiczności. Długość ich wynosi 5 metrów. Poszczególne ziarna, palone na wzór kawy w specjalnych maszynach, sprzedaje się już także w Europie. Jedzą je chętnie w Londynie, a całym owocem nakarmić się może śmiało 50 ludzi.

Podobnie ma się sprawa z olbrzymimi ogórkami, których długość dochodzi do 2 m., z dyniami o średni $1\frac{1}{2}$ —2 m., z ziemniakami na metr przeszło długimi i kapustą tej samej mniejwięcej wielkości.

Dziwy te amerykańskiej sztuki ogrodniczej nie prędko zapewne zaprowadzą się u nas. W Ameryce, gdzie olbrzymie domy posiadają jedną kuchnię centralną, w której kucharz gotuje dla wszystkich mieszkańców, można olbrzymów tych używać śmiało. Nasza kucharka nie umiałaby sobie zapewne dać z nimi rady, a nie opłaciłoby się kupować np. olbrzymiego ogórka dla jednej rodziny, gdyż sałata z niego



Olbrzymie ogórki.

starczy niemal dla całego pułku wojska. Można wszakże mieć uzasadnioną nadzieję, że olbrzymie te owoce zmuszą i nas do budowania domów na wzór amerykański z jedną kuchnią centralną, — a wówczas zniknie tyle trosk, trapiących nasze panie np. z powodu braku służby, kucharek i t. d.

Trudno dziś już przewidzieć, do jakich dalszych rezultatów doprowadzą starania hodowców amerykańskich, lecz dziś już jest pewnym, że wyhodowanie tak wielkich owoców będzie przy ciągłym pomnażaniu się ludzkości posiadało ogromne znaczenie.

Tłum. z or. ang. dr. Zbigniew Kwieciński.

Proces Kamory.

Przed trzema niespełna tygodniami rozpoczął się w małym miasteczku włoskim Viterbo proces, budzący ogólne zainteresowanie. Proces w przeciągu 5 dni dwa razy przerwano z tego powodu — że przysięgli udając bądź chorobę, bądź obarczenie pilnymi interesami, gromadnie opuszczali Viterbo i nie przybywali do sądu. Oporność sędziów przysięgłych pochodzi z ich obawy o całość skóry. Wszakże proces toczy się przeciwko członkom Kamory, która za werdykt zasądzający grozi zemstą.

Przed trybunałem obok licznych współoskarżonych stoi król Kamory neapolitańskiej, Enrico Olfano, z przydomkiem »Erricone«, to jest »wielki Henryk«. Współoskarżonych jest 42. Gdy Erricone czuł, że karabinierzy zbyt szybko następują mu na

pięty, umknął z Włoch do Nowego Jorku, gdzie przyjęli go z radością tamtejsi »maffiosi« i »camorristi«. Ale tam trafiła kosa na kamień. Włoski inspektor policyi nowojorskiej, Perosino, uwięził Erriconego, który został wydany władzom włoskim i znalazł się szybko we więzieniu włoskim. Ale członkowie Kamory zemścili się na Perosinie, który został w biały dzień zamordowany w Palermie, dokąd przyjechał z Nowego Jorku w sprawach urzędowych. Morderców nie zdołano wykryć.

W obecnym procesie zamordowanie Perosina tudzież inne zbrodnie odgrywają rolę drugorzędną, gdyż przedmiotem rozprawy jest zamordowanie małżonków Cuocolo w Neapolu, w nocy z dnia 5 na 6 czerwca 1906 r. Marya z Cutinellich Cuocolo znaleziona została rano w łóżku z ranami od sztyletu. Wszystkie rzeczy wartościowe zostały zrabowane. Równocześnie znaleziono zwłoki Cuocola

nad brzegiem morza pod Torre del Greco w pobliżu Neapolu. Małżonkowie Cuocolo byli wybitnymi członkami Kamory i należeli do grupy, która wskazywała, gdzie należy wykonać włamanie.

Małżonkowie Cuocolo zawierali znajomość z zamożnymi rodzinami, zapoznawali się z trybem ich życia, rozkładem pomieszkania i sprawami majątkowymi, poczem dawali te informacje członkom Kamory, wykonującym rabunki. Za to otrzymywali lwia część łupu. Bezkarność za te »przedsięwzięcia« zapewniał członkowie Kamory, służący w sądzie i policji. Gdy władze zabrały się poważnie do Kamory, małżonkowie Cuocoli, jak przypuszczają, zdradzili szereg kamorzystów, co jednakże Kamora wkrótce odkryła i za co wydała na nich i wykonała wyrok śmierci.

Policja i sąd śledczy prowadząc śledztwo, uwięziły szereg członków Kamory, która ze swojej strony podjęła kroki, celem uwolnienia uwięzionych. Duchowny Don Ciro Vitozzi zgłosił się dobrowolnie i zeznał, że winni są mu znani. Na tej podstawie uwięziono kilkanaście osób, które jednakże wnet wypuszczono na wolność, okazało się bowiem, że są niewinne i padły ofiarą fałszywej denuncjacji. Później wypuszczono także winnych i wtedy Erricone umknął do Ameryki. Było to dziełem kamorzystów, służących w policji.

Zdawało się, że sprawa zostanie ubita, ale na widownię wystąpili karabinierzy (żandarmi), rywalizujący z miejską policją w Neapolu. Komendant karabinierów, Capezzuto, za zezwoleniem swojej władzy przełożonej, wstąpił do Kamory i przez cały rok był bardzo gorliwym członkiem. Pozyskał sobie zaufanie przywódców i poznał wszystkie tajemnice kamory. Odkrył sprawców morderstwa, dokonanego na małżonkach Cuocolo i spowodował ich uwięzienie, a następnie rząd włoski uzyskał wydanie Erriconego, uwięzionego w Nowym Jorku.

Policja neapolitańska dotąd podtrzymuje, że podsądni są niewinni, i wobec sądu występuje przeciwko karabinierom. Rząd, pragnąc wreszcie ubezwładnić kamorę i procesowi zapewnić bieg należyty, przeniósł sprawę z Neapolu do Viterbo, miasta liczącego 20 tysięcy ludności i położonego w prowincji rzymskiej. Z pośród 43 oskarżonych znajduje się 39 w więzieniu, 4 umknęło. Prokuratora wezwała 400 świadków, strona 450.

Przewodniczący kazał usunąć wszystkie kałamarze, ażeby rozgorączkowani adwokaci nie mogli nimi rzucać. Pisanie odbywa się za pomocą piór automatycznych. Oskarżeni siedzą we wielkiej klatce o żelaznych prętach. Proces rozpisano na 6 miesięcy.

Kalendarzyk historyczny

od 2 do 8 kwietnia.

2. Kazimierz Wielki wstępuje na tron 1333 r.
3. Urodził się Bolesław Chrobry 967 r.
4. Bitwa pod Racławicami 1794 r., w której włościanie pierwsze odnoszą nad wojskami moskiewskimi zwycięstwo, i w której Wojciech Bartos Głowacki zdobył armatę moskiewską.
5. Sejm elekcyjny we wsi Kamieniu pod Warszawą 1573 r.
6. Car Aleksander I. zaprasza Kościuszkę do siebie w Paryżu 1814 r.
7. Zwycięstwo nad Szwedami pod Kozienicami 1655 r.
8. Konfederacja zawiązana w Wilnie 1764 r. — Rzeź w Warszawie 1861 r. — Nowa zniewaga narodowi polskiemu w Warszawie przez Moskali wyrządzona 1863 r.



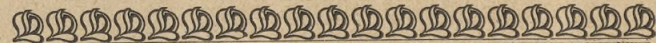
Wpływ palenia na trawienie.

Angielskie pismo lekarskie „Lancet“ umieściło w ostatnim swym numerze artykuł o wpływie palenia tytoniu na organizm ludzki. Autor artykułu stwierdza, że palenie jest nawet do pewnego stopnia dla organizmu korzystne. Tak n. p. palenie po dobrym obiedzie wzmacnia funkcję żołądka pobudzając go do obfitego wydzielania soku żołądkowego, natomiast przed obiadem palić jest nie dobrze, żołądek bowiem za nadto prędko sok ten produkuje i przesila się. Palenie przed spaniem jest szkodliwe i powoduje bezsenność, wzmagając bowiem funkcję żołądka wywołuje uczucie głodu.



Kolekcyja pcheł.

W Londynie istnieje amator pcheł, sir Walter Rotschild, posiadający »wspaniałą« kolekcyję pcheł, która obejmuje około 3000 gatunków tego doku-czliwego owadu. W zbiorze tym brakło jeszcze, jak powiada „Gaulois“, pchły z lisa podbiegunowego. Przez długi czas były starania o taką pchlę bezskutecznie, aż wreszcie zaradziło złemu ogłoszenie, umieszczone w dziennikach kanadyjskich. Rotschild otrzymał w zapieczętowanej flaszcze trzy pchły z lisa polarnego i zapłacił za nie wyznaczoną przez samego siebie cenę 600 dolarów.



Leczenie dzikich zwierząt.

Zarządy wielkich ogrodów zoologicznych dbają bardzo o zdrowie swych pensjonarzy, którzy nieraz reprezentują dużą wartość pieniężną. W piśmie *World's Work* doktor weterynaryi p. Shapston opisuje sposoby leczenia chorych zwierząt.

Najbardziej wdzięcznymi, lekkimi do leczenia pacjentami są małpy wszelkich gatunków i największe gruboskóry. Słonie cierpią często na bóle żołądka, leczy się je zapomocą gorących okładów z gorczycy i sporemi dawkami wewnątrz wódki oraz wina imbirowego. Słonie lubią bardzo te napoje i podobno często udają chorych, żeby otrzymać kwartę wódki lub wina.

Tygrysy i żmije jadowite, oraz wielkie węże cierpią najczęściej na zęby, i trzeba przyznać, że rola lekarza w takim wypadku nie jest zbyt bezpieczna. W większości wypadków trzeba przed wyrwaniem chorego zęba chloroformować zwierzęta, co również nie jest zbyt łatwe. Wąż boa prawie corocznie choruje na zęby, i z bólu dostaje szału, operacja wyrwania zęba jest wtedy bardzo trudną pomimo chloroformu.

Większość żmij potrzebuje pomocy chirurgicznej, przy zmianie skóry. W niezbyt odpowiednich dla niej warunkach ogrodu zoologicznego żmija linieje z wielką trudnością i nie może sama pozbyć się swej starej powłoki. Wogóle obowiązki weterynarza ogrodu zoologicznego są bardzo trudne i tylko ludzie odważni, zręczni i oryentujący się szybko w sytuacji mogą się ich podejmować.

Kasa depozytowa Banku Przemysłowców na Zachodzie.

Ulegając wezwaniom i prośbom, które z Zachu do coraz to częściej, bądź to w korespondencych do gazet, bądź to w petycyach do instytucji finansowych się odzywały, postanowił Bank Przemysłowców w Poznaniu, najstarsza i największa Spółka w Poznaniu, założyć w początkach kwietnia pierwszą filię we formie kasy depozytowej w zagłębiu Ruhry. Po ścisłych informacjach i po osobistym zbadaniu stosunków na miejscu padł wybór miejscowości kasy depozytowej na Gelsenkirchen, miasto położone w środowisku przemysłowego ruchu w Westfalii.

Filia ta ma służyć do ułatwienia składania depozytów, a tem samem ma budzić zmysł oszczędności. Na wzór tedy licznych kas depozytowych banków niemieckich, mających nieraz kilka, częstokroć kilkanaście kas depozytowych, urządza Bank Przemysłowców tego rodzaju filię, a wybiera obwód przemysłowy westfalski do tego celu, uważając grunt ten za najodpowiedniejszy do wykonania zamiaru.

Wiadomość tę powita zapewne ogół z zadowoleniem. Kto bowiem razem z bystrzejszym robotnikiem sezonowym śledził ruch zarobkowy wychodźstwa i obserwował, na jakie trudności napotykały chęci składania pieniędzy i na jakie niebezpieczeństwa składający są narażeni wobec nieznaności stosunków i ludzi, ten przykłaśnie myśli, która będąc od szeregu lat istotną potrzebą, obecnie się urzeczywistnia.

Ileż tu ciężko zapracowanych kapitałów powierzano niebacznie niesumiennym spekulantom, a ileż to więcej z braku zaufania spoczywa bezużytecznie w marnem przechowaniu.

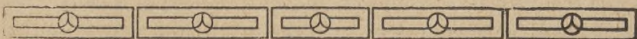
Tem sympatyczniej należy fakt założenia filii przyjąć do wiadomości, że zajęła się urządzeniem i administracją jej najstarsza i najpotężniejsza ze Spółek — Bank Przemysłowców, święący w bliskim czasie złote gody — pięćdziesięciolecie.

Nikt też nie był w tej mierze interesowany w założeniu wpłatni, jak właśnie założyciel. Kontyngent depozytariuszy Banku Przemysłowców bowiem z okolic westfalsko-nadreńskich jest dosyć znaczny. Z drugiej zaś strony przeszło ośmiomilionowy majątek własny Banku Przemysłowców najzupełniejszą przedstawia gwarancję dla powierzonych mu depozytów.

Lud górniczy, pracowity i oszczędny, dopraszał się przyjęcia nawet „tylko na schowanie“ zaoszczędzonych kapitałów.

Manipulacje nierzetelnych banków, a zwłaszcza straty liczne, spowodowane w ostatnim czasie przez bankructwo „Niederdeutsche Bank“, mającego filię w Gelsenkirchen, uzasadniły i ponowiły nawoływania. Obecnie można będzie zapracowane grosze złożyć w ręce Spółki, cieszącej się już teraz mirem na Zachodzie.

Dotychczasowe zaufanie do Banku Przemysłowców niechaj będzie najlepszą rękojmią dla nowych deponentów, a nam wypada wyrazić życzenie, aby w imię dobra moralnego i materialnego pracującego ludu, pierwsza ta kasa depozytowa jak najpomyślniej się rozwijała.



Kącik grafologiczny.

A. S. Poznań

Próba pisma wiele za mała, ażeby zarysować całokształt charakteru pana A. S. Trzebaby przede wszystkim stwierdzić, czy pan A. S. *zawsze* tak pisze, czy też kartkę ową skreślił w chwili nerwowego podrażnienia. Podajemy więc ocenę z *zastrzeżeniem*.

Sądząc z nadesłanej próby pisma pana A. S. jest to „ein Nörgler“ (nie znam i nie mogę znaleźć w słowniku odpowiedniego polskiego wyrazu). Ein Nörgler, a więc trochę zrzęda, trochę przekora, trochę krytyk, przede wszystkim zaś pesymista — nie widzi lasu przed drzewami, irytuje się muchą, która po książce chodzi, — nie lubi ustąpić z drogi — zresztą jaknajlepszy człowiek w świecie i uczuciowy, pracowity, braknie mu jednakże polotu ducha. To ptak, któremu podcięto skrzydła.

Pan A. S. jest szlachetnym i dobrym, lecz utrudnia życie niepotrzebnie sobie i innym — patrzy na świat czarno, jasnych jego stron nie może się dopatrzeć. Stan taki leży po części w złych składnikach krwi, czasami bywa także objawem neurastenii.

Pan A. S. jest skrajnym pozytywistą, chciałby ze wszystkiego wyciągnąć korzyści, talentem swym dedukcyjnym dochodzi do bardzo poważnych wniosków, lecz niestety zbywa mu na tem i na owem, ażeby swe piękne idee urzeczywistnić.

S. P.

Wrodzona fantazyja i dar naśladownictwa obok sporej dozy intuicji i dar obserwacji — oryginalność pojęć, żywość myśli i zdrowie — wszystko razem wzięwszy, dużo pogody ducha, co za tem idzie, dobry humor, okraszony dowcipem. Szkoda, że owa pani nie odebrała wyższego, specjalnego wykształcenia, świat stracił w niej, jak się zdaje, wielką artystkę dramatyczną. Umysł jej jest trochę jednostronny; horyzont myśli, obok całej żywości, niezbyt obszerny. — Brak praktyczności. Pisząca nie lubi prac fizycznych, jest trochę wygodną, lecz skromną w swych wymaganiach.

Ważne!

Osoby nadsyłające rękopisy do oceny prosimy bardzo we własnym ich interesie o łaskawe podanie, chociażby tylko w przybliżeniu, *wieku* osoby piszącej. Zupełnie inaczej ocenia się osoby 16 lub 40 letnie, a tego najbieglejszy grafolog na pewno nie jest w stanie stwierdzić — starcy piszą czasami zupełnie tak samo jak ludzie zdenerwowani.

Łamigłówka do nagrody.

Choć mi nie ma miasto Warszawa,
Lecz za to pierwsza jestem w Belgradzie,
Bezemnie niema i Bolesława,
Niezbędna także jestem w biesiadzie.
Gdzie byłeś, będziesz — pierwszeństwo moje,
Dobro zaś zawsze dzielę na dwoje.
W biedzie jam pierwsza, miejsca pierwszego
Chcę u bogacza i u biednego.
Pierwsza też bywam w każdej boleści,
A nawet pierwsza na balu bywam.
Jeżeli zaś chcecie końca tej trąci,
Baran wam powie, jak się nazywam.

Dokładne rozwiązanie łamigłówki prosimy nadsyłać **tylko na pocztówkach** najpóźniej do 9 kwietnia b. r. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadesłały rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 15.

Rozwiązanie

łamigłówek zamieszczonej w nr. 11.

I.

(Ktobądź) *kala* (imię moje)
(Tego) *kara* (niech nie minie)
Kama (fale toczy swoje)
(W Rosyi). *kana* (z cudu słynie.)
(Któż nie zna) *kala* (srogiego.)
Kawa (z aromatu swego?)
Kasa (służy do chowania.)
Kapa (zaś do pokrywania.)

II.

(Manna — dolina) *Mandolina*.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z *Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:*

pp. St. Drąg, Jadwiga Drygasówna, A. Galla, „Janek z pod Góry Przemysław“, Konstancja Kolańczyk, K. Kozłowski, Karol Krzystolik, Niezielińska, Tadeusz Oleńdarczyk, Janina Owsieńska, M. Paluszyński, Jadwiga Spychalska, „Stefcia z Kaszub“, Jan Wachowski, Tadeusz Wilgocki, Jan Wygralski.

Z *Galicyi:*

pp. Ludwika Bojukowa, Justyn Cholewik, Marya Chciukowa, Jan Dziubaczka, Roman Fiszer, Helena Królicka, Henryk Królicki, Julian Krzysztofowicz, Bronisława Matter, B. Naturski, Alina Panasiewiczówna, J. Pieszczocho, M. Szewczyk, St. Wantuch, A. Wiszniewska, Floryan Wolski.

Z *obczyzny i zagranicy:*

pp. Marya Chałupska z Duisburg-Hochfeld, Paweł Harazim z Dallwig (Nadrenia), „J. N.“ z Berlina, Fr. Nowak z Herne (Westfalia), Bronisława Pietrzak z Berlina.

Nagrodę otrzymują:

pp. Niezielińska z Poznania, Marya Chałupska z Duisburg-Hochfeld, Bronisława Matter z Krocymiecha (Galicya), Stanisław Drąg z Łesna.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

Conan Doyle.

Przygody brygadiera Gerarda.

Powieść z czasów napoleońskich.

Zbój-poeta.

(Ciąg dalszy).

Panowie, tylko z trudnością przychodzi mi opisać panom, co tam ujrzałem, a nie chciałbym, aby was dręczyły straszne sny — ale jakże mogę was zaprowadzić między zbójów hiszpańskich, nie pokazując panom, co to byli za ludzie, i w jaki sposób prowadzili wojnę?

Chcę jednak uszanować wasze uczucia i zaznaczyć tylko, że już wiedziałem, dlaczego koń pana Vidala stał bez pana w lesie, a pragnąłem, z całego serca, aby swój straszny los zniósł z odwagą i przytomnością, jak przystało na Francuza.

Możecie sobie panowie wyobrazić, że widok ten nie bardzo mnie rozweselił.

Gdy byłem w jaskini u naczelnika, wściekłość moja z powodu okrutnej śmierci młodego Soubirona, któremu byłem oddany z całego serca, tak mnie całego zajęła, iż nie pomyślałem wcale o mojem własnem położeniu.

Zapewne, byłoby rozsądniej nie sprzeczać się z tym łotrem, ale teraz było już zapóźno. Wyciągnąłem korek z butelki, i musiałem teraz wypić wino.

Prócz tego powiedziałem sobie, iż skoro już niewiunny komisarz zginął tak okrutną i straszną

śmiercią, ja z pewnością nie mogłem się spodziewać, iż będą się ze mną obchodzili łagodniej, gdy już jednego z nich tak paskudnie oporządziłem.

Nie, mój los był przypieczętowany — teraz chodziło tylko o to, aby umierać z godnością. Potwór ten powinien być świadkiem, iż Stefan Gerard umarł tak, jak żył, i że przynajmniej jeden jeniec przed nim nie zadrżał.

A gdy tak leżałem pod drzewem, przypominały mi się wszystkie kobiety, które mnie opłakiwać będą; pomyślałem o mej pocziwej matce, o cesarzu, o moim pułku, jakże odczuwać będą brak mej osoby, jak bardzo będą żalowali mego młodego żywota! Tak, panowie, nie wstydzę się przyznać, iż te smutne myśli poruszyły mnie do łez.

Mimo tego rozglądałem się odważnie za czemś, coby mogło mnie uratować, jestem przecież mężczyzną, a nie bydlęciem, przeznaczonem na rzeź!

Zacząłem więc ukradkiem zwalniać trochę więzy na rękach i na nogach, a jednocześnie szukałem pilnie środka wydobyć się z tej matni.

Jedno było dla mnie jasnem: huzar jest tylko pół-człowiekiem, gdy nie ma konia, a jednak moja

druga połowa pasła się spokojnie w oddaleniu może sześćdziesięciu kroków odemnie.

Moje myśli przeniosły się także i na inny przedmiot. Ścieżka, którą przybyliśmy przez góry, była tak wąska, iż koń tylko powoli i z trudnością mógłby być po niej prowadzony; ale w przeciwnym kierunku droga wydawała mi się równiejszą, a spadała łagodniej w dolinę.

Tylko nogi w strzemiona i pałasz do ręki, a potem śmiały skok — a znajdę się wnet poza obrębem tego robactwa w górach!

Tak sobie myślałem i pracowałem jeszcze ukradkiem rękami i nogami, gdy naczelnik bandy wyszedł z jaskini. Podeszedł do rannego, który jęcząc i wzdychając, leżał przy ogniu. Porozmawiali obydwa przez chwilę, poczem skinęli obydwa głowami i spojrzeli w moją stronę.

Następnie El Cuchillo powiedział coś przyciszonym głosem do swoich, poczem cała banda klasnęła w dłonie, i zaczęła ryczeć z zachwytu.

Wyglądało to bardzo podejrzanie, to też ucieśliłem się bardzo, spostrzegłszy, iż ręce moje na tyle są wolne, iż lada chwila będą mogły wyskoczyć z krępujących je więzów. Niestety nie mogłem tego samego powiedzieć o moich nogach, gdyż przy najmniejszym poruszeniu tak mnie kostki bolały, że musiałem wasy przygryzać zębami, aby głośno nie krzyknąć. Nie pozostało mi zatem nic innego, jak leżeć spokojnie i czekać, co to dalej z tego będzie.

Po pierwsze, nie mogłem zrozumieć, co te łotry zamierzają. Jeden z nich wdrapał się na młodą sosnę po drugiej stronie polanki i uwiązał do jej wierzchołka linę, poczem uwiązał drugą linę w ten sam sposób do drzewa, znajdującego się w pobliżu. Obydwa końce lin zwisały spokojnie, a ja z niemałą ciekawością czekałem, co się dalej stanie.

Cała banda zaczęła ciągnąć jedną linę, aż młode, silne drzewo wygięło się w pałąk, dotykając wierzchołkiem ziemi, poczem linę przywiązano do pnia. Gdy i drugie drzewo wygięło w ten sam sposób, wierzchołki obu drzew znajdowały się w oddaleniu zaledwie kilku stóp od siebie; musiały naturalnie powrócić do swego dawnego położenia, skoro się przetnie liny. Teraz poznałem szatański plan tych łotrów.

— Wyglądasz mi pan na silnego człowieka — odezwał się do mnie naczelnik, który z dyabelskim uśmiechem na ustach zbliżył się do mnie.

— Gdy pan ze mnie zdejmie te więzy, pokażę panu, jaki jestem silny — odparłem.

— Chcemy się dowiedzieć, czy pan jesteś tak silny, jak te dwa młode drzewa tam — mówił

dalej — i dlatego chcemy pańskie nogi przywiązać do końców obu lin, a potem puścić. Jeżeli pan będziesz silniejszym, będę z tego zadowolony; gdy się jednak pokaże, iż drzewa są silniejsze od pana, panie pułkowniku, będziemy mieli pamiątkę po panu po każdej stronie naszego niewielkiego państwa!

Roześmiał się głośno, a reszta poszła chętnie za jego przykładem.

Jeszcze dziś, gdy znajduję się w melancholijnym nastroju, albo też mam napad mych dawnych bólów w twarzy, ściga mnie widok ich ciemnych, dzikich twarzy, z okrutnie łypiącymi oczyma i białymi zębami przy blasku ognia.

Szczególna rzecz — a nie jestem jedynym, który zrobił to spostrzeżenie — jak bystrymi stają się w takich rzeczach nasze zmysły. Jestem najsilniej przekonany, iż człowiek w żadnej chwili nie spostrzega tak wiernie i żywo rzeczy z świata zewnętrznego, jak wtedy, gdy [mu grozi nagła i nienaturalna śmierć. Nos, oczy i uszy pracowały wtedy u mnie z taką bystrością, jak później tylko w razach wielkiego niebezpieczeństwa.

I stało się, że na długo przed innymi, nawet już nim naczelnik do mnie przemówił, usłyszałem lekki, jednostajny szmer; z początku był jeszcze daleko, ale zbliżał się coraz więcej. Z początku było niby dalekie mruczenie, ale gdy bandyci rozwiązali mi więzy na nogach, aby mnie zaprowadzić na miejsce stracenia, słyszałem tak wyraźnie, jak nigdy potem niczego w życiu nie słyszałem, tentent kopyt końskich, lekki brzęk łańcuchów, oraz uderzenia pałaszy o strzemiona.

To musieli być huzarzy! Jakżebym się mógł pomylić, ja, który byłem przy lekkiej kawalerii od chwili, gdy pod nosem ukazał mi się pierwszy meszek.

— Na pomoc, towarzysze, na pomoc! — zawołałem tak głośno, jak tylko mogłem, a chociaż zatykali mi usta i wlekli mnie do drzew, zawołałem jeszcze raz: — Na pomoc, moi dzielni chłopcy! Dzieci, pomóżcie mi! Mordują waszego pułkownika!

Moje położenie i moje rany odebrały mi na chwilę przytomność i sądziłem, że lada chwila ujrzę pięciuset moich dzielnych huzarów z bębniami i w pełnym rynsztunku na polance.

Rzeczywistość jednakże nie bardzo odpowiadała mojej wyobraźni — gdyż moje oczy ujrzały tylko przystojnego młodego człowieka na wspinałym kasztanie. Miał zdrową, wesołą twarz, a jego cała postawa świadczyła o rycerskości — właściwie postać ta przypominała mi bardzo siebie samego.

Surdut jego musiał być kiedyś czerwony, ale tam, gdzie zetknął się z powietrzem, nabrał barwy suchych dębowych liści. Na ramionach miał jednak złote tresy, na głowie zaś miał błyszczący hełm stalowy, przyozdobiony z boku białym piórem.

Wyskoczył na polankę, a za nim pędziło czterech jeźdźców w podobnych mundurach. Wszyscy byli gładko ogoleni, mieli przyjemne twarze, a wyglądali raczej na mnichów, niż na dragonów.

Krótką komenda, i mała gromada zatrzymała się, podczas gdy jej dowódca popędził naprzód, a ogień oświetlił jego piękną twarz i ładną głowę jego rumaka.

Naturalnie zaraz po szczególnym uniformie poznałem, że miałem przed sobą Anglików, a aczkolwiek nigdy ich przedtem nie widziałem, od pierwszego spojrzenia spostrzegłem po ich męskiej postawie, że nie powiedziano mi o nich za wiele, mówiąc, iż są to dzielni wojacy.

— Heda! Heda! — zawołał oficer w możliwie najgorszym języku francuskim. — Co się tutaj dzieje? Kto tu wołał o pomoc?

W tej chwili błogosławiłem godzinę, w której O'Brien, potomek królów irlandzkich, uczył mnie po angielsku.

Tymczasem rozwiązano mi nogi, wyciągnąłem więc czempredzej ręce z więzów, pobiegłem szybko jak błyskawica do ognia, gdzie leżał mój pałasz, porwałem go, i mimo rany w nodze wskoczyłem na konia nieboszczyka Vidala.

Odpiąłem czempredzej cugle od drzewa i zanim bandyci mieli czas wymierzyć do mnie z pistoletów, stanąłem przy oficerze angielskim i zawołałem:

— Poddaję się panu, mój panie! Spojrz pan na to drzewo po lewej stronie, a przekonasz się pan, co ci bandyci wyprawiają z dzielnymi ludźmi, którzy dostali się w ich łapy.

W tej chwili płomień wystrzelił jaśniej i można było widzieć postać biednego Vidala. Zaprawdę, straszny to był widok!

— Goddam! — zawołał oficer, a każdy z jego ludzi powtórzył: — Goddam! co oznacza to samo, co u nas „Mon Dieu!” (Mój Boże.)

W jednej chwili pałasze wyleciały z pochew, i czterech żołnierzy ustawiło się obok siebie w zwartym szeregu. Jeden z nich, prawdopodobnie sierżant, poklepał mnie po ramieniu i rzekł z uśmiechem:

— Teraz walcz pan o swoje życie, przyjacielu!

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIECIĘ Z ULICY.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Wcale nie! — zawołała żywo. — Jestem przyzwyczajoną do dalekich przechadzek, ale chciałabym teraz jak najspieszej powracać do domu.

— Dokąd mam panią zaprowadzić?

Wymieniła nazwisko części miasta najbardziej wykwiintnej, w której mieszkała wyłącznie najwyższa arystokracja i spostrzegła, że towarzysz jej był bardzo tem zdziwiony.

— W takim razie jesteśmy blisko celu — wyrzekł znacznie zimniejszym tonem.

— Chcesz mi pan uczynić jedną przyjemność? — zapytała, zatrzymując się nagle. — Chcesz pan zapomnieć o tej przygodzie? Nie dla tego, abym się jej wstydzila — dodała szybko — nie potrzebuję nikomu zdawać rachunku z moich czynności, ale widzę, jak pan oceniasz ten mały wybryk i nie chcę, aby inni tak samo sądzili.

— Możesz pani być pewną, że będę dyskretnym.

— Nie tylko o to mi chodzi — chcę też jeszcze, abyś pan nie wiedział, kto jestem i gdzie mieszkam; pożegnaj się na rogu Królewskiej ulicy, ztamtąd już trafię sama do domu.

— Bardzo dobrze.

— A więc nie będziesz mnie pan śledził?

— Może to pani wystarczy, jeżeli zapewnię, że nigdy nie byłem zwolennikiem tak zwanych: awanturek.

— Oh! — rzekła i niby małe rozczarowanie przebijało się w jej głosie. — To co innego. A więc — do niezobaczenia i do niepoznania się! — dodała i wyciągnęła rękę do niego.

— Tylko na ostatnie życzenie mogę się zgodzić — wyrzekł.

— To mi wystarczy. Dobranoc i raz jeszcze serdeczne podziękowanie za wyrządzoną mi przysługę.

— Byłbym to samo zbroił dla każdej kobiety znajdującej się w podobnem położeniu.

Pocałował podaną mu rękę, a zawoławszy na przejeżdżającą przypadkiem dorózkę, wskoczył do niej i odjechał.

— Doprawdy! — pomyślała niezmiernie zdziwiona — ani się nawet za mną nie obejrzał!

Dom do którego zadzwoniła, wyglądał na zewnątrz wspaniale, a wewnętrzne jego urządzenie było prawdziwie książęce. Przez szybko otworzone drzwi weszła młoda kobieta do wielkiego, jasno oświetlonego przedpokoju, pełnego rzadkich kwiatów i posągów marmurowych.

— Wasza książęca mość raczy się udać do niebieskiego salonu — rzekł do niej służący z niskim ukłonem.

Młoda księżna Arbanow skinęła głową, rzuciła płaszcz i pobiegła szybko do małego, niebieskiego saloniku, w którym starsza jej krewna, pani Bogdanow na nią czekała, siedząc w głębokim fotelu i jedząc cukierki.

— Byłaś o mnie niespokojną Maryniu? — zapytała Ferra, gotowa przyznać się do winy.

— Nie. Czemu? Dla tego, że jesteś kapryśna i wolisz iść pieszo, niż jechać? Każda kobieta ma kaprysy, a ty jesteś w tym wieku, że powinnaś wiedzieć, co robisz.

— Tak, tak! — zawołała Ferra śmiejąc się i rzuciła niedbale na krzesło swój biały koronkowy szal, który jeszcze dotąd trzymała w ręku — masz rację, ale jestem do tego przyzwyczajoną, bo Konstanty zawsze był bardzo niespokojny, jeżeli czasem zostałam gdzie choć trochę dłużej.

Marya Pawłówna, tak było imię pani Bogdanow, wzruszyła ramionami dosyć wymownie, odłożyła cukierki, a natomiast przysunęła sobie pudełko z tytuniem i zrećnie i szybko zwinęła papierosa.

— Napijesz się herbaty, Ferro?

— Chętnie. Na dworze było zimno.

— Pomimo to wyglądasz jak róża!

— O, miałam przygodę. Prawdziwą awanturę!

— Czekaj! Zanim zaczniesz opowiadać, zawołaj na służącą, niech przyniesie herbatę, a ty się przebierz i urządz się wygodnie, można wtedy o wiele lepiej rozmawiać. Zaraz uderzy pierwsza, do drugiej mamy czas, bo prędzej i tak nie mogą usnąć.

Ferra zgodziła się na to. Na ostry głos dzwonka ukazała się panna służąca, podniosła troskliwie szal koronkowy, który tymczasem zsunął się z krzesła na podłogę i udała się wraz z księżną do jej pokoi leżących po prawej stronie domu i wyła-

cznie przez nią zamieszkanych, podczas kiedy pani Bogdanow zajmowała całe lewe skrzydło, niebieski salon, leżący w środku domu, był wspólnym.

„Marynia“ Bogdanow, jak ją znajomi poufale nazywali, była małą osobką, o żółtej, tatarskiej twarzy i bystrych, czarnych oczach. Cały dzień paliła papierosy i nie żenowała się bynajmniej mówić o wszystkim, co jej przyszło do głowy. Przytem wywierała dziwny wpływ na swoje otoczenie, posiadała bowiem serce zimne i nie czułe, nic i nikt nie budził jej serdecznego zajęcia albo jej współczucia i była bardzo rozsądną, czasem nawet okrutną. Za życia męża odgrywała często, jako żona posła, znaczne role przy rozmaitych dworach, knuła liczne intrygi, ale nigdy nie była skompromitowaną. Obecnie żyła w niejakiem odosobnieniu przy dworze w D., brała udział tylko w tem, co jej się podobało, była w wielkich łaskach u rodziny panującego księcia, chociaż i wobec niego umiała być równie dowcipną, jak złośliwą, wyrozumiałą zaś była do ostatnich granic.

Konstanty Arbanow był jej krewnym. Usłyszawszy o jego dziwnem, powtórnem ożenieniu się, wzruszyła ramionami i nazwała go: głupcem, ale gdy ujrziała Ferrę, roześmiała się i rzekła:

— Pojmuję wszystko! Jej uczucie dumy rodowej nie było wystawione na dalszą próbę, bo młoda księżna uchodziła ogólnie za siostrzenicę Dymitra Nosakowa, tego szlachcica, który ją w Paryżu adeptował. Mówiono, że kazał ją wychować w klasztorze Sacré Coeur; o adoptowaniu jej, o pobycie jej w pałacu Arbanow, o jej ciemnej przeszłości nikt nie wiedział, a książę Konstanty nie potrzebował jej wcale nakazywać pod tym względem milczenia — było to w jej obecnem położeniu i tak już bardzo przykre wspomnienie, którego się wstydziła.

W rok po ślubie dowiedział się książę Konstanty, że pan Bogdanow znajduje się w jakiejś misji politycznej przy dworze w Petersburgu; postanowił więc powierzyć swoją młodą, niedoświadczoną żonę opiece Maryi Pawłówny i kazać ją przedstawić u dworu. Marya Pawłówna zgodziła się na to bardzo chętnie, bo od dawna lubiła błyszczeć swemi pięknymi: protegowanemi, chociaż wiedziała dobrze, że służy tylko za tło ich piękności, ale charakter jej był pod tym względem szlachetny, nie znała bowiem ani zazdrości, ani nieżyczliwości.

Dzień, w którym Ferra po raz pierwszy miała się ukazać na dworze, zakończył się niespodziewanie bardzo smutnie. Wieczorem, gdy młoda księżna w kosztownej i przepysznej sukni cała otulona w niebieskie lisy siedziała w karecie obok

męża, rozbiegały się konie, karetę się wywróciła i Konstanty Arbanow tak mocno został pokaleczonym, że po roku obłożnej choroby umarł.

Ciężko rannego przyniesiono do pałacu Bogdanowych, a Marya Pawłówna nie mogła nigdy zapomnieć wrażenia, jakiego doznała na widok Ferry, cudem prawie ocalonej i stojącej przy łożu męża z twarzą śmiertelnie bladą, w swej niebieskiej, srebrem przetykanej, powłóczystej sukni.

Księżę Arbanow i Piotr Paweł Bogdanow umarli w ciągu jednego roku.

Marya Pawłówna nie rozpaczała zbyt często po śmierci męża; na letnie mieszkanie przeniosła się do bardzo ładnie położonej stolicy w D., gdzie już dawniej miała liczne znajomości. Z początku chciała zaraz ztamtąd wyjechać, bo jej się obecnie tamtejsze stosunki nie podobały, ale w końcu jednak została. Zamieszkiwała połowę wielkiego własnego domu w najpiękniejszej części miasta, a że z czasem stała się niedomagającą i trochę wygodną, przyszło jej w pewną bezsenną noc na myśl, że byłoby z pewnością o wiele weselej, gdyby miała obok siebie jaką młodą, pełną życia towarzyszkę. Nie dla tego, aby jej okazywać czułości — zapragnęła mieć kogo, na kim mogłaby robić doświadczenia pod względem umysłu i serca; chciała badać wrażenia, jakim dusza kobiety ulega — sama zaś pozostawała zawsze zimna i niewzruszona.

Wynikiem tych rozmyślań był list, zapraszający Ferrę Arbanow.

„Jesteś wdową — pisała do niej — przytem młodą, piękną i bogatą! Byłabyś szaloną, gdybyś nosiła żałobę dłużej, jak trzy lata po moim biednym kuzynie; świat ma prawo do ciebie, a i ty możesz wiele od życia mymagać. Jednakże przez wzgląd na twoją młodość nie możesz nigdzie występować bez opieki, jeżeli nie chcesz, aby źle o tobie mówiono — przybądź więc do mnie. Dwór w D. nie jest wprawdzie rajem, ale w każdym razie jest tutaj weselej, niż na rosyjskich stepach. Możesz pozostać o mnie dopóty, dopóki tylko będziesz chciała.

„Odeślij swoją pannę do towarzystwa i zamów sobie suknie u Wortha, połowa mego domu jest na twoje usługi. Przyjmij dobrą służącą. Nie będziemy sobie nawzajem przeszkadzały — obie będziemy zupełnie wolne, wyrozumiałe, bez żadnych wymagań, sans gêne, ale też bez zbytłych serdeczności. Jesteśmy obie same i możemy być razem jak dwaj dobrzy przyjaciele, będzie to dla nas bardzo korzystnie. Jeżeli się na to zgadzasz, to możesz mi donieść telegrafem o dniu twego przybycia.”

Marya Pawłówna na chwilę nie wątpiła, że Ferra przyjmie zaproszenie i nie omyliła się. Już od trzech dni znajdowała się młoda księżna w D. w wili pani Bogdanow i pod jej opieką. W dwudziestym drugim roku życia była postać Ferry bardziej rozwiniętą i pełniejszą; twarz jej wypiękniała tak, że Marya Pawłówna ujrawszy ją, nie mogła powstrzymać okrzyku zdziwienia i zadowolenia. Przeczuli, że ukazanie się Ferry wywoła burzę, a chociaż mogła to być burza w szklance wody, zawsze było zabawnie przyglądać się temu — Marya Pawłówna zaś bardzo lubiła zabawę i pragnęła jej.

W przeciągu tych trzech dni poznała już dokładnie charakter Ferry i była ciekawą, jak się rozwiną jej skłonności i przymioty w gorącej sferze dworskiej. Jutro miała się odbyć pierwsza próba.

Pałac papierosa, siedziała, zapatrzona w wielki kryształowy świecznik, u którego tylko dwie świece były zapalone i w myśli rozkoszowała się zdziwieniem, jakie ujrzy na twarzy księcia Dagoberta i księżnej Sybili — zdawała się słyszeć szepty i uwagi całego towarzystwa, w tem weszła Ferra i przerwała jej myśli.

Zamieniła kosztowny strój wieczorny na wygodny szlafrok turecki, a złote jej włosy spływały rozpuszczone na ramiona. Pani Bogdanow patrzyła na nią z przymrużonemi oczami, badawczo, jak na piękny przedmiot sztuki.

— Brawo! — rzekła z uznaniem — wyglądasz doskonale! Jutro wieczorem niejeden mi będzie zazdrościł tego sam na sam z tobą.

Ferra, śmiejąc się, usiadła na fotelu i oparła głowę o niebieską, jedwabną poręcz.

— Nie mam dziś dobrego wyobrażenia o sobie — rzekła.

— Jak to?

— Czy nie mówiłam ci o pewnej przygodzie? Na tym, którego dziś spotkałam, musiałam zrobić bardzo lichy wrażenie.

Piła wolno gorącą herbatę z filiżanki z kosztownej sewskiej porcelany i znowu się rozśmiała. Pewność szczytu piękności tak się w niej zakorzeniła przez uwielbianie jej starego małżonka, że dzisiejsza pozorna przegrana dziwiła ją i bawiła.

Zacząła więc opowiadać to, co ją spotkało.

— Nawet się za mną nie obejrzał — powtórzyła z przyciskiem; odsunęła filiżankę i zapaliła również papierosa — a przecież położenie nas obojga było bardzo zajmujące, nieprawdaż, Maryniu?

— Rommingen zawsze tak postępuje!

Ferra zerwała się z krzesła, papieros upadł na podłogę i tlił się dalej.

— Ty go znasz? i mówisz to dopiero teraz?

— Tak, teraz, gdy ty skończyłaś.

— Wysoki, wysmukły brunet, wykwinnie ubrany!

— Tak, tak. Zresztą tylko jeden Rommingen umie być tak skąpym w grzeczności i tak poważnym w postępowaniu.

— Rommingen? nic więcej?

— Leon hrabia Rommingen, adjutant księcia Dagoberta.

— Ah! — Był to widocznie okrzyk zadowolenia, jaki wydały różowe usta Ferry.

— Mogłabyś mi powiedzieć co o nim, Maryniu.

— Nie jest on wcale w moim guście — rzekła pani Bogdanow. — Zawsze ostrożny, zawsze bez zarzutu i zachowujący wszelkie formy towarzyskie, tacy mężczyźni są niewygodni; sądzą surowo o wszystkim tem, co się z ich przekonaniem nie zgadza. Nie sądzą wedle przymiotów, jakie posiadamy; mniej ich razi wielkie nogi, niż jaka mała: pikanteria. Rommingen przypomina mi zawsze jednego świętego z jakiejś legendy. Myślę, że jedyna kobieta, jaką dotąd kochał, była jego babka i w teraźniejszym pokoleniu szuka podobnego do niej ideału.

— Bardzo przystojny! — szepnęła Ferra, słuchając uważnie opowiadania kuzynki.

— Tak jest, a u dworu w takich łaskach, że mój przyjaciel Neukirch często mu zazdrości.

— Ale już późno, czas spać. — dodała. — Dobranoc ci, Ferro!

Marya Pawłówna wstała i udała się do swoich pokoi. Młoda księżna została sama i patrzyła w gasnący ogień na kominku. Może marzyła o zwycięstwach i powodzeniach, które jej najbliższa przyszłość miała przynieść.

X.

Zamek panującego księcia w D. stał od lat kilkunastu ciemny i opuszczony. Książę August Teodor był z natury usposobiony do życia prawie pustelniczego, a czas i różne przykrości, które go spotykały w życiu prywatnym, jeszcze bardziej to zamięłowanie do samotności umacniały. Rządy swego państwa sprawował z wielką sprawiedliwością; bardzo był lubiany i poważany przez cały naród, ale nie pokazywał się nikomu.

Ponieważ nie był żonatym, miał kiedyś tron po nim objąć siostrzeniec jego, ale i z tym rzadko kiedy się widywał. W wolnych chwilach zajmował się astronomią, a na wszystkich uroczysto-

ściach dworskich kazał się zastępować swojemu staremu, doświadczonemu marszałkowi nadwornemu.

Jedyną osobą, która nie pozwalała się od drzwi jego oddalić, była żona jego siostrzeńca, księżna Sybila, gdy przychodziła skarżyć się na męża, co się rzeczywiście bardzo często zdarzało, a czego panujący książę nie cierpiał. Pomimo zaś, że najczęściej musiał sam księcia Dagoberta uznać winnym, była mu księżna w najwyższym stopniu niesympatyczną. Starał się raz po raz ganić siostrzeńca i czynić mu rozmaite drobne wymówki, ale wtedy niepoprawny książę Dagobert śmiał się tylko i wzruszając ramionami, mówił:

— Cóż to pomoże, kochany stryju! Sybila miała dużo pieniędzy, a my mieliśmy ich zawsze bardzo mało. Znoszę cierpliwie moje jarzmo, a kto może mnie potępiać za to, jeżeli czasami pragnę je sobie cokolwiek ulżyć!

Nikt go też nie potępiał — przeciwnie, książę Dagobert był więcej szanowany i kochany, niż na to zasługiwał.

August Teodor mieszkał w ogromnym, ale skromnym zamku; był to gmach staroświecki, zbudowany z kamienia, z niezliczonymi oknami w równej linii, bez wież, balkonów i narożników.

Młoda para książęca zajmowała natomiast nowy pałac, cały zbudowany z czerwonego piaskowca. Pałac ten, z swemi bogatemi rzeźbami, żelaznemi tarczami herbowemi i złożonemi ozdobami, wyglądał wspaniale i zbyt kownie.

W tym to pałacu, którego „sala zwierciadlana“ sławną była nawet poza granicami państwa, miał się dziś odbyć pierwszy bal w tym karnawale. Pani Bogdanow uzyskała pozwolenie wprowadzenia swej kuzynki i przedstawienia jej książęcej parze. Pozwolenia tego udzielono jej bardzo chętnie i łaskawie; jej stanowisko, majątek i względy, któremi się w ogóle cieszyła, przemawiały dostatecznie za jej piękną kuzynką, która zamierzała przepędzić jedną zimę w stolicy D.

Obiedwie panie przybyły dosyć późno. Na wschodach i kurytarzach już się wrzawa nieco uspokoiła, wszyscy goście zaproszeni byli zgromadzeni w sali zwierciadlanej, a ci, co się trochę spóźnili, szukali z pośpiechem swoich miejsc. Pani Bogdanow i Ferra znajdowały się zupełnie same w obszernej garderobie, gdy zdejmowały płaszcze i szale. Ferra ubrana była w białą, haftowaną, atlasową suknię, przystrojoną piórami białego marabout — w piórach błyszczały brylanty. Białe pióra zdobiły wykrój stanika, wąskie, krótkie rękawy i jej lśniąco, złote włosy.

Strój ten był skromny, a przytem wytworny — wyrachowanie piękny, to też Ferra wyglądała w nim prawdziwie zachwycająco.

— Spiesz się! — upominała pani Bogdanow i pociągnęła ją za sobą do sali — już najwyższy czas.

W tej samej chwili otworzyły się podwoje, prowadzące do salonów książęcych, potrójne uderzenie laski marszałkowskiej rozległo się i książę Dagobert z swoją małżonką ukazali się na progu.

Wszystko się przed nimi pochyliło głęboko, łysy głowy starych Ekscelencyi skłoniły się à tempo tak nisko, jak tylko mogły — jak kiedy powiew wiatru porusza kłosa zboża na polu. Panie zanurzyły swoje postacie w fałdach szeleszczących jedwabów, a Ferra patrzyła wielkimi oczyma z najwyższem zajęciem na ten cały świat.

Sala, na której kominki były z białej, połączanej porcelany, okna zakryte białymi, jedwabnymi firankami, i której ściany tworzyły olbrzymie lustra, wyglądała prawdziwie wspaniale i imponująco. Książę Dagobert okazał tu najlepiej swoje zamiłowanie do przepychu i zbytków. Trzy olbrzymie świeczniki z weneckiego kryształu wisiały u sufitu i odbijały się w zwierciadłach; galeria, przeznaczona dla orkiestry, otoczona była cienką, połączaną kratą. W rogach sali umieszczone były całe klomby kwiatów — tym razem wybrano czerwone azalie, które na białem tle sali przedstawiały widok czarująco piękny.

Ferra, patrząc ukradkiem na to wszystko, czuła, że serce jej mocniej poczynalo uderzać. W koło niej blask i połysk brylantów i orderów, szelest ciężkich jedwabów, woń i uśmiechy — jak gdyby na całym świecie nie było już nic innego, dla czego żyć warto. Z początku była widocznie trochę onieśmielona, bo inaczej byłaby zauważyła, iż stroje otaczających ją dam nie były ani zbyt modne, ani zbyt gustowne, że na osobach, znajdujących się tam, leżał niejako cień staroświeczny, i że, skoro tylko przeszła para książęca, oczy wszystkich zwróciły się na nią.

Ekscelencyja Neukirch otworzył szeroko z zaskowienia swe zazwyczaj przymrużone oczy i poruszył lekko ramię swego sąsiada.

— Sapristi! któż się mógł spodziewać, że ta Bogdanow posiada taką kuzynkę! — A w myśli dodał: — Trzeba uważać na księcia! — Potarł

reć i spojrzał na swego sąsiada. Drugi Ekscelencyja pochylił głowę z lekkim, wymownym uśmiechem.

Neukirch był dawniej guwernerem księcia, obecnie uważano go, a mianowicie on sam siebie, za najlepszego jego przyjaciela — pod pewnym względem.

Książę Dagobert nie był pięknym, ale posiadał wysoką, wyniosłą postać! Księżna obok niego traciła bardzo na przeciwieństwie, jakie oboje tworzyli. Na twarzy księcia widać było, że używał życia; oczy i usta otoczone były licznymi, drobnymi zmarszczkami, pomimo, że nie miał jeszcze czterdziestu lat, za to ruchy jego były prędkie i zręczne, a w oczach jego, pełnych ognia, jaśniała uprzejmość i dobroć serca. Jako mężczyzna, nie tracił nawet wiele przy swoim pięknym adjutancie, który równie wysoki i wytworny, tylko o wiele zimniejszy i poważniejszy, stał za swoim dostojnym panem. Obydwaj mieli na sobie mundury wojskowe — Rommingen nosił na piersiach ozdobne, złote sznury adjutanta — książę orderu i błyszczące gwiazdy.

Księżna Sybila była wzrostu więcej niż średniego, ale chuda i koścista jej postać nie posiadała żadnego wdzięku; pleć jej, wyglądająca wieczorem, przy świetle, dosyć dobrze, była we dnie żółta i zwiędła, włosy i oczy miała koloru niepewnego. Słowem należała do rzędu tych istot niewieścich, którym natura odmówiła wszystkiego, co ludzi podbija i zachwyca. Wiedziała o tem bardzo dobrze, bo pomimo licznych wad i słabości charakteru, była nadzwyczaj mądra — to też zaprowadziła na swoim dworze surową, purytańską skromność i postarała się o to, że ochmistrzyni jej dworu i obiedwie damy honorowe, nie odznaczały się tak samo pięknnością, jak ona. Złośliwe języki tamtejszej arystokratycznej śmietanki nazywały część pałacu, którą zajmowała księżna z swym dworem: pokojami strachów — a Neukirch twierdził, że nikt inny tej nazwy nie wymyślił, jak pani Bogdanow.

Księżna w duszy nienawidziła, o ile możliwości wszystko, co było młode i piękne; dręczyła księcia ciągłą, często wprowadzającą słuszną zazdrością i nie dawno dokonała tego, że jedna bardzo ładna i lubiana śpiewaczka opery nadwornej w D. została nagle oddaloną.

Ciąg dalszy nastąpi).

⊙ Najwyższy czas odnowić przedpłatę! ⊙

ZA WINY OJCÓW.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Przed obiadem pojechaliśmy do profesorów, abym ich poznała — wątpię jednak, czy tym panom mogła być przyjemną znajomość dziewczyny, wyglądającej tak apatycznie i rozpaczliwie. Mnie było obojętnem, jakie wrażenie na nich uczynię; nie patrzałam też wcale na miasto — ledwie, że czasem podniosłam oczy i cieszyłam się, gdy znowu deszcz zaczął padać. Co mi teraz po wesole, pogodnem niebie!

Następnego zaraz dnia rozpoczęły się moje lekcye, a że profesorowie otrzymali zapewne wyraźne rozkazy od babki, więc miałam tyle do uczenia się, że natężywszy wszystkie moje umysłowe siły, zdołałam ledwie zadowolić ich wymagania.

Zadawałam sobie też rzeczywiście wiele pracy — nie pozostałam apatyczną i obojętną, jak pierwszego i drugiego dnia; byłam na to za młodą jeszcze i duch mój był zanadto elastyczny. Miałam także wiele ambicji, nie chciałam, aby mnie uważano za nieuka; pragnęłam dowieść babce, że nie upadnę pod narzuconym mi ciężarem.

Z dumnie podniesioną głową chodziłam po pokojach, nie spuszczałam już oczu, i spokojnie i śmiało spotykałam spojrzenie babki. Nie pytała, nie przemawiała do niej ani słowa, odpowiadałam zawsze grzecznie, lecz krótko, i zdawałam sprawę z zadanego mi czytania, co czasem wywoływało z jej strony zadowolnione skinięcie głową i uprzejme „dobrze“. Czasem, gdy miałam sposobność podziwiania wiadomości mej babki, jej wszechstronnego wykształcenia i wysokich dążeń umysłowych, jej zamiłowania do najrozmaitszych przedmiotów naukowych — doznawałam przecucia, że i ze mnie pragnie uczynić to, czem sama była, to jest istotę, zajętą jedynie wiedzą, nie mającą ani duszy, ani uczucia, kierującą się jedynie rozumem.

Później przekonałam się, że rzeczywiście tego chciała, abym się stała zupełnie do niej podobną — czyż zapomniała jednak o różnicy naszego wieku? Czy zapomniała o doświadczeniach, które uczyniły ją tem, czem była teraz? Czy myślała i czuła tak samo, jak teraz, gdy była w moim wieku, gdy miała siedmnaście lat? Tego nie wiem.

Ale z całej swej mądrości i doświadczenia wyniosła to jedno przekonanie, że najlepiej temu człowiekowi, który nie ma życzeń, nie jest od ni-

czego zależnym, który się poświęca naukom, jedynym bożkom, nie sprawiającym nigdy zawodu swym wyznawcom, przeciwnie nawet, przywiązującym ich coraz silniej do siebie, im więcej odsłaniają swe oblicza poważne i surowe.

Ponieważ zaś babka mocno przekonana była o tem, że myślący człowiek nie żyje dla tego, aby dążył do własnego szczęścia, tylko dla korzyści innych, i że mnie uważała za mniej przeznaczoną do szczęścia, niż innych, przeto starała się zapewnić mi to, co będąc sama przy schyłku życia, nauczyła się uważać, że najlepsze i najkorzystniejsze. To rozpoznanie przyszło mi dopiero później — wówczas miałam tylko raz po raz jakieś słabe, niejasne przecucia.

Gdybym była Stellą, byłabym umiała zapamiętać się na to wszystko z wesołej strony, byłabym oponowała temu systemowi przymusowemu nie łzami i hardością, tylko śmiechem i swawolnem spojrzeniem, byłabym rozpoczęła nieskończoną, zaczętną walkę z panią tego domu, byłabym psuła jej plany, zapominała jej surowych rozkazów, nie zważała na ostre napomnienia i byłabym się w duszy śmiała z jej wiecznych nagan i lajań.

„Uważaj — pisała mi Stella — wtenczas ona wnet się zmęczy — w naszym wieku wytrzyma się coś podobnego o wiele dłużej, niż w tak podeszłym. Ja zmęczyłabym się bardzo prędko — ale nie ustąpiłabym ani na włos — byłabym zawsze uprzejmą, zawsze pokorną. Mówiłabym: „Dobrze, droga babciu“ — „masz słuszość, kochana babciu.“ Nigdy nie zapominać o dekorum — nigdy, broń Boże. Ale być posłuszną, o, to zupełnie inna rzecz.“

Tak, Stella. Onaby to wszystko uczyniła, o tem nie wątpiłam ani na chwilę. Onaby się też wcale tem nie martwiła, czy jest kochaną, czy nie. Ale ją kochali wszyscy, od razu zdobywała sobie serca — a jeśli czasem jej się to nie udawało, to nic jej nie szkodziło, ona już potrafiła to przeboleć.

Ale ja nie byłam Stellą. Byłam bez porównania poważniejszą, więcej uczuciową, sercową. Ja postępowałam tą drogą, którą mi wskazano, sumienie i punktualnie, mając w głębi duszy ledwie cień nadziei, że za pomocą żelaznej pilności, śle-

pego posłuszeństwa i zaparcia się samej siebie zdołam kiedyś może pozyskać miłość babki. Mając lat siedemnaście, nie łatwo pozbyć się od razu wszelkiej nadziei.

O, moja Stello, co by się stało zemną w tym czasie bez twych wesołych, serdecznych listów, na które w nocy, pod opieką Barbary obszernie odpisywałam. — Jak ona umiała wszystko opisać — gospodarstwo kawalerskie wuja, ostrego, poważnego człowieka, starą, zgryźliwą jego gospodynię, setki odwiecznych tabakierek, filiżanek, zegarów, wazonów i urn — wuj bowiem był zagorzałym wielbicielem starożytności — a między tem wszystkiem ona, istny chochlik, przewracający wszystko z góry na dół — ona w swych modnych strojach, myśląca tylko o teatrze, wizytach, zabawach, balach i bukietach z kotylionów, ona lekka, wdzięczna, śmiejąca się wesoło, śpiewająca i pusta.

Co za przeciwieństwo! A przytem jej Henryk, jej bohater, jej rycerz, cała jej rozkosz i duma. Ach ten Henryk! Gdybym go też ujrzyć mogła. Jaki on piękny i wytworny, ozdoba każdej zabawy, najzręczniejszy jeździec, najwytworniejszy tancerz, słowem młodzieniec par excellence!

Ona, Stella, może być słusznie dumną z takiego brata i czuje się niezmiernie szczęśliwą, gdy on z uśmiechem dowodzi, że to on może być z niej dumny, że ona jest ideałem siostry.

Henryk naturalnie nie mieszka u wuja, ponieważ jego surowość i wieczne wtrącanie się w jego sprawy są mu niezmiernie przykre i pokoje duszne, napelnione wszelkiego rodzaju tandetą, są mu poprostu wstrętnymi — on mieszka na bulwarach, w przepysznym urządzonym mieszkaniu, trzyma dwa konie i żyje wesoło, na wielką stopę, jak przystoi kawalerowi jego stanu i nazwiska. Codziennie mógłby się bogato ożenić, ale — on już jest takim — uznaje za hańbę, żenić się tylko dla pieniędzy, jeśli się posiada dumę i serce, i będzie czekał dopóty, dopóki nie znajdzie połączonych pieniędzy i serca.

Całe arystokratyczne towarzystwo stolicy nie mówi obecnie o niczem innem, jak o pojedynku, który miał Henryk z jednym młodym porucznikiem gwardyi, sławnym z licznych przygód awanturnicznych i pojedynków. Powodem do tego była pewna dama wielkiego świata, nie młoda, ani piękna, ani zajmująca — Henryk znał ją ledwie z nazwiska — ów porucznik pozwolił sobie mówić o niej bez należytego uszanowania, a brat Stelli, jej piękny, rycerski, szlachetny brat kazał mu to wszystko odwołać. Porucznik nie chciał i został wyzwany na pojedynek.

Henryk otrzymał lekką ranę w ramię — zgoiła się w przeciągu tygodnia — nie warto ani o tem wspominać, przeciwnik zaś został ranionym w bok, ale na szczęście nie zbyt niebezpiecznie; wyjechał zaraz na dłuższy czas do domu, a Henryk jest obecnie bohaterem dnia, podziwiany, uwielbiany przez kobiety, ceniony przez mężczyzn — wszystko to sprawia mu przyjemność, nie czyniąc bynajmniej zarozumiałym.

Ona sama, Stella, bywa dużo w towarzystwach i na kilku balach miała nadzwyczajne powodzenie, ku wielkiemu zdziwieniu i niezadowoleniu zgryźliwego wuja, któremu wytworne jej stroje, wizyty oficerów i innych kawalerów i dyplomatów, oraz ciągły niepokój i zamęt w domu, już rzeczywiście „kością w gardle stoją“. Stellę bawi wszystko to niezmiernie.

Opisywała mi dokładnie swe walki i sprzeczki z wujem i jego gospodynią, gwałtowne tejsze zaczepki, jako i jej własne dowcipne i złośliwe odpowiedzi... a w duszy słyszałam jej srebrny śmiech, i widziałam błyszczące oburzeniem oczy. Tak, Stella nie poddawała się tak łatwo, te codzienne utarczki były dla niej prawdziwą „wesołą wojną“, co tak ściśle należało do jej istnienia, jak żarty i dowcipy jej na pensyi — każdy wszystko chętnie znosił, bo to była Stella de Marligny!

Wymieniała mi też nazwiska swoich wielbieli, ale widocznie żaden nie wywarł na niej głębszego wrażenia.

Te listy Stelli przemawiały do mnie, w mem cichem, jednostajnem życiu, językiem z innego, obcego mi świata. Byłam za młoda i zbyt jeszcze lekkomyślna, aby pokochać nauki, którym się tyle poświęcałam. Uczyłam się prędko, posiadałam wyborną pamięć i łatwe pojęcie, ale byłabym tysiąc razy wolała biegać po ogrodzie, bawić się i tańczyć z koleżankami — nic już nie mówiąc o mej ukochanej muzyce! Przypuściwszy, że moje lekcye byłyby się niespodziewanie skończyły — sądzę, że nie „byłoby mi to sprawiło najmniejszej przykrości“.

I tak mijał tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu — coraz częściej zdarzało się, że przynosiłam bardzo dobre świadectwa od moich profesorów — babka kiwała tedy głową na znak zadowolenia, ale ani razu nie ożywił jej kamiennej twarzy ani uśmiech dobroci, ani łagodne spojrzenie; żadna chociażby najmniejsza pieśczoła nie dostała mi się od niej, a to, czego już, będąc dzieckiem, tak gorąco pragnęłam, to jest miłości, tego i teraz jeszcze nie miałam, i nieraz byłaby mnie prawdziwa rozpacz ogarnęła, gdyby nie pocziwa mistress Barbara!

Ach, jakże ona dobrą była dla mnie w tym pustym, smutnym domu! Już sama jej postać, serdeczne spojrzenie, wesoły uśmiech, który zawsze miała dla mnie, wszystko to napępniało moje biedne serce szczęściem i radością. Gdy wieczorem przychodziła do mego pokoju, z wieczną pończochą w niestrudzonych rękach i opowiadała mi o matce, wtedy byłabym mogła słuchać do samego rana. Mówiła, jak pięknym dzieckiem była moja matka, wesołym, uzdolnionym, i jak wszyscy ją kochali; była ona bóstwem babki, która zostawszy wcześniej wdową, cały świat widziała w tem dziecku! Czasem, zasłuchana, rozciekawiona, zapominałam o przyrzeczeniu, danem przez Barbarę babce, i pragnąc się jeszcze czegoś więcej dowiedzieć, pytałam bez końca — ale Barbara umiała milczeć, i nigdy, ani jednym słowem nie zdradziła niczego z tej części przeszłości, której ja poznać nie miałam!

— Nie, nie, moje serce — mówiła wtedy zwykle — (mówiliśmy sobie w moim pokoju „ty“, wobec babki zaś zawsze „mistress Barbaro“ i „miss Doro“) nie wódź twej starej przyjaciółki na pokuszenie. Byłoby to z mej strony złem podziękowaniem, gdyby za wszystkie dobrodziejstwa, jakie mi hrabina wyświadczyła, miała się odplacić złamaniem słowa. Przyrzeczenia trzeba koniecznie dotrzymać, komukolwiek bądź je się dało, chociażby najbiedniejszemu, ale ja popełniłabym podwójny grzech, gdybym tego nie uczyniła! Musisz wiedzieć Edyto — chciałam powiedzieć Doro, ale gdy spuścisz oczy, to wyglądasz zupełnie tak, jak twoja matka — że pani hrabina i ja jesteśmy siostry mleczne, i że moja matka, która była bardzo ubogą wyrobnicą, musiała dać mnie do zamku, gdzie mnie wychowano razem z lady Walentyną. Po największej części uczyłam się też razem z nią. Było mi wtenczas bardzo dobrze; mogłam hojnie wspierać matkę, która też dostawała bardzo wiele z zamku i po śmierci wypra-

wili jej państwo taki pogrzeb, jak gdyby była bogatą panią. O tem nigdy nie zapomnę! A ja, gdy lady Walentyna pojechała do Londynu, aby być przedstawioną u dworu, i bywać na balach i zabawach, ja zostałam w domu i nauczyłam się od paryskiej garderobianej wszystkich jej sztuk, ponieważ przeznaczono mnie na pokojową dla lady Walentyny, skoro wyjdzie za mąż. Była ona bardzo piękną, to też myślałam, że wnet zajmę moje nowe miejsce. Ale stało się inaczej. W owym właśnie czasie poznałam mego męża, który pracował przy przebudowaniu zamku, a gdy się lady Walentyna zaręczyła z hrabią Willoughby, to ja obchodziłam już uroczystość weselną z Robertem Morton. Dostałam od państwa piękną wyprawę, i wyprowadziłam się z mężem do Edynburga, tam bowiem mieszkalam stale. Nie powodziło mi się dobrze — przechodziłam wiele, wiele cierpień i przykrości, ale to nie dla ciebie — dosyć, że było nam źle, bardzo źle — mąż mój dostał się w złe towarzystwa i nie miał dosyć siły, aby się z nich wyrwać — ale o umarłych, którzy się już bronić nie mogą, nie wolno nam nic złego mówić. Spoczywa on spokojnie na szkockim cmentarzu — a ja byłam w rozpacz, gdy umarł, bo mieliśmy wiele długów, których spłacić nie mogłam. Byłam słaba i chora, i pomimo najszczerzych chęci nie mogłam myśleć o przyjęciu jakiego miejsca. Wtedy to dowiedziała się młoda hrabina Willoughby o mojem nieszczęściu, i kazała mi natychmiast przybyć do siebie; popłaciła wszystkie moje długie, załatwiła wszelkie sprawy, i wzięła mnie do Brukseli, gdzie właśnie wtenczas mieszkała.

Ach, ja nie mogłam dosyć się wywdzięczyc za tyle dobroci, byłam chorą na duszy i na ciele, pogrążona w mej boleści i doznanych cierpieniach, a w Brukseli było wówczas wesołe życie; pan hrabia był tam posłem i lubił otwarty dom i wystawne życie i był dumny z swej pięknej, młodej żony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Szanowni Czytelnicy!

Co dzień prawie odbieramy kilka listów, w których Czytelnicy i Czytelniczki pisma naszego dziękują nam za piękne powieści i artykuły, jakie drukujemy, piszą, że się doczekać nie mogą świeżego numeru, i zapewniają nas, że nigdy pisma naszego nie porzucą.

Za te liczne objawy uznania serdecznie dziękujemy, zapewniając, że starać się będziemy stale pismo nasze ulepszać w miarę sił a więc w miarę przyrostu abonentów.

Prosimy więc teraz przy końcu kwartału o jednanie nam nowych zwolenników ku pożytkowi sprawy naszej polskiej. Wkrótce rozpoczniemy druk nowej **prześlicznej powieści**.

REDAKCJA.

Marya Rodziewiczówna.

JERYCHONKA.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Nie miała broni do walki z potęgą pięknej zalotnicy, skarb swój musiała jej zostawić na pastwę. Bezmierny żal wstrząsnął nią. Ukryła twarz w dłonie i ostatecznie żegnała się z marzeniem. Była jakby na pogrzebie swojego szczęścia i złotych złudzeń i czując się tutaj zupełnie samą i swobodną, nie hamowała bólu. Mówiła sobie: „Gdy stąd wyjdę, powinnam już być mocną i hartowną; jeszcze tę chwilę tylko mam dla siebie“.

Mrok coraz gęstniał i tylko, jak skra złota, świeciła lampka przed ołtarzem; z kątów świątyni czasem wybiegało westchnienie ciężkie lub szelest różańcowych paciorków.

Ta wielka, pusta nawa i to światelko jedno usposabiały do ukojenia ciszy. Mury te, zda się, przesiąkłe były bólem i prośbą. Powoli tajała w nich dusza. Magda ani spostrzegła, że mówi pacierz. Oczy jej przeszły na lampkę i ujrzały w jej blasku obrazek ze wspomnień włoskich.

Mnich stary oprowadzał ją po korytarzach mrocznych i objaśniał freski na ścianach na pół zatarte.

Postacie malowideł były prawie bez ciał, a twarze ich ginęły w ekstazie. Rzekła tedy do mnicha:

— Mistrz nie studiował anatomii i na żywych ludzi nie patrzył.

Zakonnik uśmiechnął się filuternie.

— E, signorina. A z kądzle! Młodzieńczyk był mówi legenda klasztorna. W lat piętnaście furtę przestąpił, a w swojej celi widywał niebo. Co widział, to malował! Z ciała jest ciało, a z ducha duch!

A potem po namyśle dodał:

— Dwanaście lat mija, jak mi przeor polecił gościom freski pokazywać i tłumaczyć. Codziennie mam robotę. Więc chyba nie dość ludziom anatomii i żywych, kiedy tu idą to oglądać. E, to także nauka, tylko już tak namalować nie potrafią! Tak, tak, signorina, waszym malarzom dają wieńiec z lauru, a nasz dostał taką samą złotą obrączkę nad głową, jak ot tutaj ma święta Agnieszka. Zapamiętajcie: ciało tworzy ciało, a duch tworzy ducha!

Magda wstała i rażno podniosła głowę.

— To wszystko marność, gdy mi duch został i ideał. Do pracy, do myśli, do życia!

Gdy wychodziła z kościoła, ktoś dotknął jej ramienia. Obejrzała się i uśmiechnęła radośnie na widok Berwińskiej.

— Przecież, pomyślała o mnie — rzekła.

— Myślałam często, ale przyjść mogę ledwie raz na miesiąc. Co to znaczy, żeś w kościele? Dziś u was dzień przyjęcia...

— Skończyły się przyjęcia. Od dwóch tygodni nikt u nas nie bywa. Jestem pod interdyktem u kobiet, tych, co się szanują. Marynia zrazu płakała, teraz wymyśla każdemu.

— Za cóż to?

— Za Oryża. Ułożono między nami romans i postanowiono, że jeśli się nie pobierzemy, to na wieki odsądzona jestem od czci, wykluczona z towarzystwa.

— Gdzież Oryż?

— Albo ja wiem? Od miesiąca przepadł bez wieści. Posądzam go o sentyment dla Boińskiej; pewnie siedzi u stryja w Buczaczu i do niej się dopytuje.

— To bardzo nieprzyjemne. Cierpisz?

— Prawie nic. Szkoda mi tylko Malickich i przykro mi z powodu Maryni. Chodźmy!

Idąc ku domowi, mówiła już wesoło:

— Uciechę mam z Sylwestra. Zrazu miał minę dyskretnego pocieszyciela; teraz wygląda jak szpieg i pokątny doradca. Jednak co tydzień się zjawia i bada grunt, podsuwa dwuznaczne przedmioty i rozmowy, schnie z żądzy wydobywania nowinki i ploteczki. Jestem pewna, iż myśli, że Oryż gdzieś tu ukryty, spotyka się ze mną pokryjomu.

— Ależ to absurd! Czy pofiksowali wszyscy!

— Naprawdę, jam trochę winna! Gdy baronowa z Filipem ukuli tę kombinację, tak mnie to ubawiło, że potakiwałam. Oburzyło to społeczeństwo jako bezczelność i oburzenie opinii, no, i chryja się stała straszna. Chciałabym widzieć minę Oryża, gdyby o tem usłyszał. A toby mi nagarnął impertynency!

Spojrzała w górę ku oknom swojego mieszkania.

Znalazły w saloniku Malickich i Sylwestra. Magda serdecznie powitała doktorową i zaraz się wytłumaczyła po swojemu, szczerze z opóźnienia.

— Nie spodziewałam się pani, więc się nie spieszyłam z powrotem. Myślałam, że pani wie o ostracyźmie, który mnie dotknął.

— A jakże, wiem! — odparła doktorowa obojętnie — ale chłopak mój przechodził odrę, więc nie mogłam cię odwiedzić.

Doktor, jak sęp, rzucił się na Berwińską. Nie witał, nie pytał, tylko zaczął krzyczeć:

— Czy pani ma sumienie hodować taką anemię! Żelaza, żelaza, wina, morskich kąpiel! To zgroza, co wy dokazujecie!

A Sylwester zbliżył się do Magdy i spytał z uśmiechem starego satyra:

— Co słysząc z „Salamandrą“? Ludzie mówią, że pani się nią pilnie opiekuje...

— Zrezygnowałam dzisiaj z opieki, bo Filip stanowczo malować nie chce. A szkoda, obraz zapowiadał się bardzo świetnie.

— Nie każdy zdolen jest kochać i pracować zarazem. Baronowa jest wyłączną, nie znosi nikogo i nic wobec siebie. Tylko gusta jej bywają krótkotrwałe! Słyszałam już o następcy pana Filipa.

— Ejże, tyle jest plotek, że nie uwierzę, aż fakt zobaczę! Miłość Filipa warta większej nagrody, niż fantazyi! Może ona ją oceni!

— Pani jej broni? Nie warto...

— Zawsze warto szukać dobrego i nie sądzić bezwzględnie. Mnie tembardziej nie godzi się potępiać baronowej, więc mów pan o czemś innym.

— Trudno, bo całe miasto mówi tylko o tej parze.

— A to podziwiam pańską cierpliwość, bo mnieby to nudziło po kwadransie!

— Pani ma własny temat! — uśmiechnął się z pozorną dobroduszością.

Zwróciła się do doktorowej i zaczęły rozmawiać o chorobie malca. Sylwester, zbity z tonu, podszedł do Malickiego, który, spiorunowawszy Berwińską, burczał teraz na majorową, że nie pilnuje dziewcząt w szkole, aby miały szczepioną ospę.

— To powinno być załatwione przed pacierzem i alfabetem. A przytem co tydzień wanna. Ja oto składam dwadzieścia reńskich: niech ich pani użyje na kąpiel. Dziecko syte, czyste i zajęte w miarę pracą daleko prędzej pojmie katechizm. Przekona się pani! Niechlujstwo jest pierwszym krokiem do złego. Jak sobie chcecie, nazwijcie

mnie maniakiem, ale zaręczam, że w niższej klasie takiż wpływ na cnotę ma mydło, jak w wyższej honor i zasady!

Zaperzył się, gdy Magda się roześmiała.

— Was to bawi, a to jest zupełnie poważne.

— Ależ ja wierzę, doktorze — broniła się. — Zaśmiałam się, myśląc, jakby to wygodnie było, żeby dla wyższej klasy istniały sklepiki z honorem i zasadami.

— Sklepiki? bagatela! Na nasze choroby i brudy trzeba by wskrzesić Herkulesa. My — to Augioszowa stajnia. Słuchajno, Sylwester, wiesz, że ma być zjazd lekarski i owacye dla Czechów?

— A cóż! Wcale dobra myśl. Kiedyż to?

— Latem podobno. U nas mają pasyę do szopek, ale ta mi się szczególnie podoba.

— Dlaczego? Czechy są z nas, Słowian, najrozumniejsi, mogą nam być przykładem. Dłoń bratnią nam podają. Należy ich uczcić!

— Czciście zatem. Ja tam nie myślę. Doktor Czech, czy ja, tak samo zarznie człowieka, jeśli się Bóg za nim nie ujmie. Gadać będą, jeść, pić, całować się, pisać brednie po gazetach, a ludzkość, jak była chorą, tak zostanie.

— Mój drogi! — wtrąciła żona. — Ty całe życie burczysz i krytykujesz, a pewnie w zjeździe uczestniczyć będziesz.

— Bo muszę! Człowiek nabierze na siebie różnych ciężarów, i wmówią w niego potem, że to obowiązki.

— Niech to pana pocieszy, że tak jest z każdym — rzekła Berwińska.

— Bajesz! — zaśmiał się Sylwester. — Obiorą cię prezesem, palniesz mowę, wyściskacie się z Czechami. Kapitałna okazja. Jabym na ten czas zapisał się do waszego cechu. Ale to jeszcze dalekie rzeczy. Tymczasem mamy komitet do urządzania bezpłatnych śniadań i nocnych przytułków na zimę. Ma być świetny bazar na ten cel przed świętami. Panie mają sprzedawać. Bufet, muzyka, koncert! Przygotuj się, że cię skratują do nitki!

— Mnie? Czy ja waryat tam chodzić! To jest uprawniony rozbój na gładkiej drodze. Mam nadzieję, że pani, panno Magdo, nie będzie wśród tych dam, które w tej roli są wstrętne.

Osiecka poczerwieniała z przykrości wobec milczenia Sylwestra, ale Magda odparła wesoło:

— Nie. Bądź pan spokojny. Tam będą tylko damy szanowane i pełne godności? Mnie już wykluczono z tego czcigodnego grona.

— A, prawda. Słyszałem, że już teraz gorszą się, czemu pani nie idzie za Oryza. Szczególna pretensja! Powiadam: Onegdaj swataliście ją z Osiec-

kim! Coście się tak raptem jej losem zajęli, albo wam brak własnych spraw?

— Ma pan rację! — zawołała Osiecka. — Czego oni się na nas uwzięli? Ten nieszczęsny Oryż dwa lata był u nas prawie domownikiem i nikt na to nie zwracał uwagi. Teraz, gdy się wyniósł, wytworzono o nas bajkę miejską.

— Nie byłoby nic dziwnego, żeby się w panie Magdzie zakochał i po pijanemu chwalił się z jej uprzejmości. Ztąd plotka! — rzekł Sylwester.

— O, co to, to nie! — oburzyła się Magda. — Oryż był mi rzetelnym kolegą, a on nie zwykł nawet prawdą się przechwalać, tembardziej zmyślane historye prawić. Ludzie nie mieli na razie innej nowinki, ktoś im tę podsunął i poszła w kurs, rosnąc do olbrzymich rozmiarów. Ludzie i tak byli dla mnie wyjątkowo długo łaskawi. Teraz sobie to splecają. Cóż robić! Minie i to!

— Lubię panią za to! — zawołał doktor. — Mówiłem dziś żonie: — Ona jest tak zdrowa i zajęta, że pewnie mniej się tem martwi od ciebie.

— Tak, ale ślad w życiu zostanie! — rzekła Berwińska. — Smutne to, gdy się ludzi już lekceważy.

Sylwester wstał i zaczął się żegnać. Nikt go nie zatrzymywał, a gdy wyszedł, Osiecka rzekła:

— I ten już więcej nie przyjdzie.

— Bardzo dobrze! — zaśmiał się doktor. — Obmowa i plotka, to wialnia i sortownik przyjaciół. Zostanie się mało, ale rzetelnych! A teraz, gdy ten poszedł, powiem wam nowinę. Onegdaj widziałem w mieście Faustangera. Szedł otulony w płaszcz, alem go poznał po utykaniu na lewą nogę. Była ona w moich doktorskich rączkach po pojedynku i pamiętam tę kurację. Otóż zdziwiło mnie, skąd się tu wziął nagle. Z tego się wywiąże komplikacja, zobaczycie. Należałoby ostrzedz pana Filipa. Rotmistrz, gdy sobie pałkę zaleje, bywa straszny.

— Ja się do tego nie wtrącam! — zawołała Osiecka. — Błazen, nas się wyrzekł, Magdę oszka-

(Ciąg dalszy nastąpi.)

lował, progu mego więcej nie przestąpi, ani też chcę wiedzieć o jego romansach i awanturkach. Nawarzył piwa, niech pije.

Berwińska spojrzała na Magdę. Miała twarz zupełnie spokojną. Pomyślała więc, że Filip musiał ją utracić ostatecznie.

VI.

Gdy ksiądz Oryż wrócił z Krakowa, zastał synowca rozlokowanego na probostwie, które wskutek tego wyglądało jak knajpa. Gdyby nie wpływ i opinia Magdy, nastąpiłoby zapewne zaraz zerwanie dyplomatycznych stosunków; ale ksiądz naukę zapamiętał, więc wyrzucił tylko synowca ze swojej sypialni i pozwolił mu resztę plebanii zadymiać złym tytuniem, rysować po ścianach i zablacać podłogi.

Malarz przez dni parę umyślnie czynił to z całą ostentacją, by wywołać burzę; ale widząc, że stryj jakby nie widział go, stracił gust w dokuczaniu. Przeniósł swoje penaty do kuchni, gdzie uczył kucharkę sprośnych piosenek; ale ta, stara i przygłucha, zносиła to także filozoficznie; więc i tam się Oryż prędko znudził. Zwiedził miasteczko, pochwycił kilka typów do swojej teki i oczekiwał uroczystego święta. Wtedy, podczas nabożeństwa, przedrzeźniał stryja na ambonie, pewny, że przecież wywoła scenę; ale i to zniósł proboszcz. Oryż był tak zdumiony nagłą zmianą, że postanowił spróbować ostatniej sztuki, a potem uciec i nie wrócić nigdy.

Wieczorem, gdy ksiądz brewiarz odmawiał, przyszedł do sypialni, położył się na łóżku i zaczął gwizdać operetkowe kuplety.

Ksiądz bez gniewu wyszedł z pokoju i w jadalni modlitwy dokończył. Ledwie książkę odłożył, Oryż rzekł:

— Wie stryj co? Jabym chciał mieć sto reńskich.

— Czemu nie? To okrągła sumka!

— To niech mi je stryj da! Domuntówna stryjowi sfuszeruje jedną kaplicę, a ja do drugiej naprzeciw zrobię „Pokusy św. Antoniego“. Chce stryj szkic zobaczyć?

:: HUMORYSTYKA ::



W kawiarni.

Gość (czytając gazetę, natrafia na jakieś łacińskie słowo, którego nie rozumie): Janie, czy Jan umie po łacinie?

Jan: Nie!

Gość (do siebie): Osieł!



Coraz młodsza.

Szesnastoletniego chłopca zapytano:

— Ile ma lat twoja starsza siostra?

— Nie wiem — odpowiada — bo dawniej miała lat 24, potem 21, teraz 19, a jak tak dalej pójdzie, to będziemy bliźniętami.



W kuchni.

— Maryanno, kto był wczoraj u ciebie w kuchni?

— E, to proszę pani był mój brat...

— Tak? A jak się on nazywa?

— Maciej Prętnik, proszę pani...

— Prętnik? To dziwne? Dla czego on nie nosi tego samego nazwiska co i ty?

— A bo, proszę pani, bo on... dla tego... bo on, proszę pani, był już raz żonaty...

Nie wolno.

— Czy mama nie wie, jak się pisze „wieprz”? Przez „rz” czy „sz” na końcu...

— Nie, Salcze, nie wiem, mnie nawet tego wiedzieć nie wolno, bo my tego nie jadamy.



Przy lekcji muzyki.

Uczennica: — Jak pan śmiesz mnie całować, czy mój ojciec za to panu płaci?...

Nauczyciel (nie zbity z tropu): — O nie! On płaci za lekcję, a to ja dokładam bezpłatnie.



Przezorny.

— Proszę pana Japtykarza maści od pobicia.

— A na cóż to wam, przecież nigdzie nie macie żadnego skaleczenia.

— Tak, widzi pan japtykarz — ale jutro jedzie na jarmark...



Wyrachowany.

Jeśli pan jesteś żonatym, jak to opowiadasz, dla czegoż sam zwykle chodzisz do teatru?

— Bo z żoną to podwójny koszt, a... połowa przyjemności...



Niby Urban Długonos.

— Panie szanowny, przepraszam pana bardzo, ale na nosie pańskim siedzi mucha.

— Na prawdę? nic o tem nie wiedziałem. Ale, proszę, niech ją pan stamtąd spędzi, boć ma pan do niej bliżej niż ja.

W tramwaju.

Facet: — Ach! Jakże arka Noego napel-
niona.

Jeden z jadących: — Brakuje tylko osła...

Konduktor: — Siadaj pan prędko.

**Monolog „wstawionego“.**

...Z pewnością pierwszy grzech popełniła ko-
bieta, chodziło o to bowiem, aby zjeść i gdyby
grzech pierworodny popełnił mężczyzna — cho-
dziłoby o to, aby wypić.

**W sądzie.**

— Podsądny, jesteś człowiekiem zupełnie ze-
psutym! Musiałeś chyba obracać się w złem to-
warzystwie?

— Panie sędzio, od 18 roku życia tylko cią-
gle z sędziami mam do czynienia...

**Prawdziwa bieda.**

— Jakto, pan już po raz trzeci żonaty?

— Cóż robić! Na świecie jedno nieszczęście
nigdy nie przychodzi, zawsze za nim idzie dru-
gie i trzecie...

**Współczesny skarb.**

— Wie pan, moja żona to skarb prawdziwy!

— Nie może być! Pod jakim względem?

— Ona ma kamienie w kischkach, cukier w żo-
łądku, migdały w krtani i cały rezerwoar wody
w nogach.

**Z pieśni miłosnych.**

Dziewczę z buzią jak donica
Twoje oczy straszne są —
O dziewczyno brzydkolico,
Jakże nęcisz kieszeń mą!

Długi gnębią mnie okrutnie,
Żyd do kozy wsadzić chce,
A w kieszeni pusto, smutnie,
Że aż rozpacz bierze mnie.

Chciałbym stan ten mój odmienić,
Wszakże się naciągnąć dasz?
Ja się z tobą chcę ożenić,
Choć tak straszne oczy masz!

Ładny doktor.

— Co, doktor w Poznaniu?

— A tak.

— Na długo?

— Na zawsze.

— A przecież doktor mieszkał stale w X.

— Tak, ale widzi pan, nie mam tam co robić,
gdyż wszyscy moi pacycenci już powymierali.

**Poszukiwanie.**

MAŻ MÓJ Ignacy Potulski wyszedł przed
tygodniem w gniewie z domu i nie powrócił jeszcze.
Ubrany był skromnie, blondyn średniego wzrostu.
Znaki szczególne: podbite lewe oko i na obu po-
liczkach znaki od podrapania.

Ktoby o nim wiedział, niech raczy łaskawie
zawiadomić stęsknioną jego żonę.

**W sądzie.**

Maciej Drab, jesteś skazany na dwa lata
więzienia! Zgadzasz się na ten wyrok?

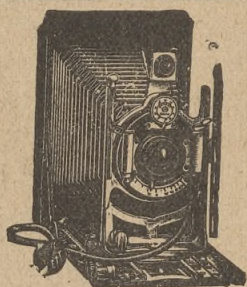
Niech mi pan sędzia choć z 15 procent opuści,
to my ze sobą jeszcze nie jeden taki interes zro-
bimy...

**Zagadka obrazkowa.**

Gdzie jest czwarta gęś?

Najlepsze i najtańsze źródło
**aparatów
fotograficznych**
i wszelkich przyborów.

Fotograficzne płyty,
filmy, papiery i chemi-
kalja zawsze **świeże**,
gdyż bardzo wielki obrót.



Wszelkie reparacje
aparatów fotograficznych
wykonuje szybko i bardzo starannie
„Camera“ Z. Śniegocki.
Pierwszy specjalny skład fotograficzny
i gramofonów.
Poznań, ulica Rycerska 37.

Ciemnice bezpłatnie.
Wywoływanie, kopio-
wanie, powiększenia
i t. d.

Zamiana i zastosowa-
nie obiektywów w no-
we aparaty.

BANK ZIEMSKI

e. G. m. b. H. **GNIEZNO,**
ul. Farna 3.

kupuje i parceluje posiadłości ziemskie — pośredniczy w kupnach, sprzedażach i dzierżawach, nabywa i reguluje hipoteki — załatwia wszelkie w ten zakres wchodzące transakcje — przyjmuje zastępstwa w sprawach subhastacyjnych, przyjmuje depozyty, płacąc proc. według umowy.

Rada Nadzorcza: 556-9

Dr. Tomaszewicz, prezes. T. Prabucki, wiceprezes.
A. Thiel. W. Królewczyk. Ks. Formanowicz.
L. Śmielecki. A. Tabaczka. St. Fenrych. W. Piechocki.

Zarząd:

K. Barciszewski. B. Cetkowski. S. Kucik.



758-9

Krzyże niklowane.

Książki

do nabożeństwa,

figury, lustra

Kropidła krakowskie

Oprawa obrazów

po cenach umiarkow.

Szkło tafłowe i lustrz.

hurt. — detal.

Wielki wybór pocztówek

i **powinśzowań.**

dawniej **Mondré**

MASADYŃSKI

Szeroka 14. — Tel. 2784.

Wielka obietnica

objawiona przez P. Jezusa.

Nowenna łask Boskich

zapewniająca dobrą śmierć

każdemu, kto ją raz jeden

w życiu godnie odprawi.

Z aprobatą kościoła. 190 str.

Cena 10 fen. z przes. 15 f.

10 sztuk z przes. za 1,30 m.

zamawiać w

Księgarni Katolickiej,

Poznań, Jezuitska 5, za zalicz-

ką lub pieniądze naprzód.

Młody kupiec, kawaler, po-
siadający skład bławatów, po-
szukuje na tej drodze

żony.

Panienki do lat 24, małego
wzrostu, skromne, dobrego uspo-
sobienia, i mające zamilowanie
do interesu, raczą oferty z do-
łączeniem fotografii i podaniem
wysokości majątku z zaufaniem
nadesłać pod nr. **825** do
Administracji „Głosu Wielko-
polanek“. Dyskrecja rzecz ho-
noru.

Patenty

na wynalazki itd.

Dr. Maryan Kryzan
rzecznik patentowy.

Poznań — Rycerska 33.

Drogerzysta, syn ról-
nika z dobrej rodziny, dzielny fa-
chowiec, liczący lat 25, przy-
stojny i inteligentny, szatyn
z dobrym charakterem, ma-
jący zamiar objąć wspólnie
z bratem większy interes, po-
szukuje dla braku stoso-
wnych znajom., na tej drodze

towarzyszek życia.

Panienki średniego wzro-
stu, miłego usposobienia,
gospodarne w wieku 18-23
lat, posiadające około 15-20
tys. mk. raczą łask. oferty
wraz z fotografią nadesłać
pod nr. **819** do Admini-
stracji Głosu Wielkopola-
nek. Zwrot fotografii. Dyskr.
rzecz honorowa. Anonimy
się wyprasza

Kawaler, rzemieślnik w wie-
ku 25 lat, poszukuje dla braku
znajomości stosownych,
na tej drodze

żony.

Dobrze wychowane i gospo-
darne panny, chociażby
bez majątku, niżej lat 25,
zechcą nadesłać oferty do
kspedycji Głosu Wielko-
polanek pod nr. **791**.

Kawaler rolnik 25 lat liczący
z majątkiem 26,000 mk. ma-
jący chęć wnieść się w po-
siadłość ziemską poszukuje

żony.

Młode panny zechcą się
zgłosić z dołączeniem swej
fotografii do Administracji
Głosu Wielkopolanek pod
nr. 818. Dyskrecja rzecz
honorowa.

Celem uregulowania nakładu prosimy Szan. Czytelników o najrych-
lejsze nadesłanie przedpłaty na kwartał przyszły do Administracji
„**TYGODNIKA NARODOWEGO**“ w Krakowie, ulica Wiślna 1. 2.

Prenumerata wynosi rocznie 9 koron, półrocznie 4 korony 80 hal.,
kwartalnie 2 korony 40 hal. — Abonament do Francji, Ameryki,
Król. Polskiego i Rosji tylko półrocznie 8 koron, rocznie 16 koron.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupezy w Krakowie; Henryk Mierkiewicz w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.



**K
N
A
P** Zakład własny
**I
N
S
K** wyrobów ortopedycznych
I **Ludwika Knapińskiego**

dostawcy klinik uniwers. Jagiell. i szpitali wojsk.

Aparaty syst. Hesinga

do leczenia skrzywień kręgosłupa i chorób kończyn stawowych, bandaż, pasy, gorsety, pończochy gumowe bez szwu, prostotrzymacze dla dzieci, nogi sztuczne i szczudła.

Wykonywane wedle wskazówek WP. Profesorów i lekarzy, odznaczone na wystawach lekarskich złotymi medalami.

Knapiński, Kraków, Mikołajska 7.

Telefon 505.



Wszelkie żurnale mód
francuskie, angielskie i wiedeńskie
cena 1 K.. z przesyłką K. 1.40, za
zaliczką K. 1.65

szczególnie żurnal sezonowy

Favorit

na wiosnę i lato 1911 zawierający około 1000 modeli jakoteż **GOTOWE KROJE** na suknie, kostiumy, żakiety, spódnice, szlafroki, matynki, bieliznę damską i męską, rękawy, ubiory dla dzieci itd. oraz manekiny na wszelkie miary poleca

M. LANDAU, Kraków, ul. Mikołajska 7.

Dla prenumeratów w Krakowie dostawa do domu bezpłatna.



Magazyn i Pracownia sukien męskich
MARCINA CZAJI i WŁ. RECHOWICZA

Kraków, ulica Mikołajska L. 24.

poleca na sezon letowy wielki wybór materiałów

modnych, krajowych i oryginalnych angielskich.

Wykończenie artystyczne, ceny przystępne.



Pierwszy zakład bandażo-ortopedyczny
HYNKA BOGDANOWICZA

w Krakowie, ul. Floryańska 9 (w podworcu)

poleca w wielkim wyborze i najtaniej:

Pasy rupturowe pachwinowe, nerkowe i brzuszne.

Sznurówki i szelki do prostego trzymania się.

Przyrządy do równania różnic części ciała.

■ Poduszki i irygatory, pończochy gumowe, strzykawki, wate, aparaty inhalacyjne, suspensorya i t. p.

■ Pasy higieniczne miesięczne systemu Teufela.

LAWN - TENNIS,
RAKIETY, PIŁKI,
PIŁKI NOŻNE,

Przybory do ryb-
łóstwa.

PERFUMY, MYDŁA

i **PUDRY** kraj., franc.
i angielskie

14 polecają najtaniej

REIM i Ska, Kraków

Rynek 37. Linia A. B.

Magazyn mebli

i zakład tapicersko-dekoracyjny

Kajetana Dudziaka

W KRAKOWIE, ul. Floryańska I. 36, I. p.

== Kraków, ulica Zybkiewicza 9. Telefon 796. ==

MECHANOLECZNICZY

ZAKŁAD ZANDEROWSKI

Lecznica chirurgiczno-ortopedyczna.

Oryginalne aparaty Zandera.

Gimnastyka lecznicza. — Pracownia dla sporządzania gorsetów, sztucznych kończyn, opasek przepuklinowych i t. p. — Leczenie gorącym powietrzem. — Mięsienie. — Elektryzowanie.

Aparat Röntgena. — Sala operacyjna. — Pokoje dla chorych.

Leczenie garbów, skrzywień kręgosłupa i kończyn, chorób stawów i kości, gościca, arytmia i t. p.

Zakład otwarty od godz. 9—1 i od 4—6.

Dr. Alfred Merz.

Dr. M. Staszewski.

Dr. Zygmunt Wachtel.

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią
zadowolić tutki cygaretowe

„Framos“ z watą „SALVESOL“

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien
liści morwowych, więc nic dziwnego, że pali się
lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Wła-
sności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku

„WATA SALVESOL“

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio
mocnych — wskutek swego nader delikatnego
włókna roślinnego. Każdy palący tytoń, chcąc
uniknąć zatrucia nikotyną, powinien palić tylko
w cygarniczkach szklanych z watą „Salvesol“.

Oryginalny pakietek „Waty Salvesol“ wy-
starcza na 200 do 400 papieros. lub cygar.

1000 sztuk tutek „Framos“ 3 korony. 10 cygarni-
czek 1 kor. 20 hal. Pakietek waty „Salvesol“
30 lub 60 hal.

Zakład przem. wyrob. papierowych „Noris“

Mr. W. Beldowski, Kraków.

Dyplom honorowy:

Na wystawie
Kraków 1901
Karlsbad 1908

Dyplom honorowy:

Na wystawie
Londyn 1908
Paryż 1908

W. Sznajdrowicz

Kuśnierz

15

13

w Krakowie, Rynek Linia A-B Nr. 45, I. piętro.

Filia: w Krynicy.

Poleca Szan. P. T. Publiczności, swój
obficie i jedynie w towary, doborowe
zaopatrzony Skład i pracownię jako:
Futra dam., Rotundy, Żakietki, Saka,
Peleryny, Boa Garnitury, Futra męskie,
Spacerowe i podróżne, Marynarki, Sur-
duty, Bekiesze i Dohy, Czapki futrzane
oraz wszelkie przybory w zakres ten
wchodzące, oraz wielki wybór, Ser-
daków i Peleryn.

ZAMÓWIENIA

wykonują się z całą starannością, jak również
wszelkie przeróbki oraz pokrycia futer, i w tym
celu magazyn posiada wielki Wybór materiałów
z fabryk krajowych, jak również angielskich.